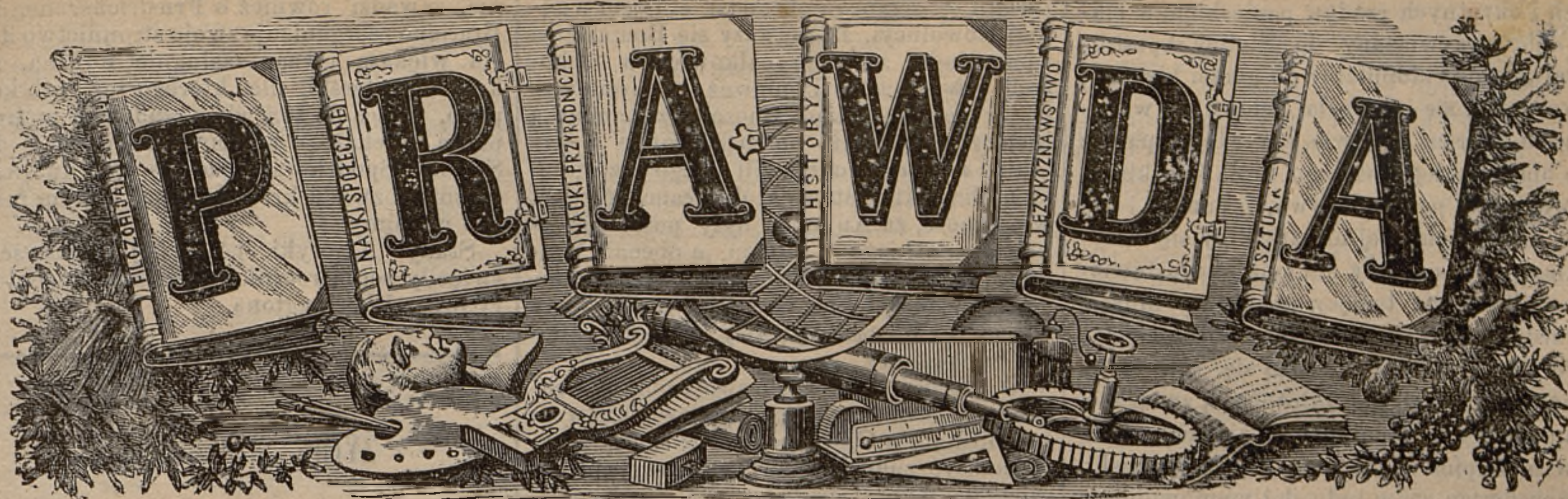
№ 18. Warszawa, dnia 4 Maja (22 Kwietnia) 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Memento. — Tydzień polityczny. — Homunkulus. Epopeja wsółczesna Roberta Hamerlinga. — *Życie społeczne*: Szkoły zawodowe I. — Listy z nad Baltyku p. A, R. — *Sprawy ekonomiczne*: Złota gorączka p. Zenona Pietkiewicza.— *Badania naukowe*: Socyologiczne poglądy Herberta Spencera I. p. Lud. Krz. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska p. G. Brodowskiego. — Z Niemiec p. Ladawę. — Literatura francuska p. E. P.— *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — O prawdę. Jeszcze wyjaśnienie w sprawie kanalizacyi I. p. A. M. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary.

Dnia 29 kwietnia odbyło się w Częstochowie uroczyste odsłonięcie pomnika Cesarza Aleksandra II. Pamiątka ta powstała ze składek włościan, jako objaw wdzięczności za uwłaszczenie ich, wyrażony w następujących napisach ruskich i polskich na pomniku: „Cesarzowi Aleksandrowi II wzniesiony w r. 1889 staraniem ludności wiejskiej Królestwa Polskiego. Ukaz z d. 19 lutego 1864 r. Niech ten dzień będzie pamiętnym i dla włościan Królestwa, jako dzień nastania nowej ich pomyślności." Na uroczystość tę przybył J. W. General-Gubernator warszawski, gubernatorowie, komisarze włościańscy i wielu dostojników. Nabożeństwo katolickie odprawił biskup Bereśniewicz, prawosławne—biskup Flawian. Pierwszy przemówił do włościan, sławiąc zasługi zmarłego Monarchy, zalecając im poszanowanie prawa i miłości dla wszystkich klas społeczeństwa. Następnie J. W. General-Gubernator wzniósł toast za zdrowie Najjaśniejszego Pana, powitany okrzykami i hymnem „Boże Cesarza chroń," oraz podziękował włościanom za udział w uroczystości.

POLITYKA.

MEMENTO.

Jakkolwiek dziecinną wydaje się światu cywilizowanemu myśl przywrócenia władzy świeckiej papieża, pokutuje ona ciągle w głowach „radykałów" watykańskich, którzy ją ciągle przyczepiają do uwagi publicznej. Zwykle idzie ona na rachunek polityki pana, nieraz zaś jest tylko marzeniem lub spekulacyą jego sług. Nieświadomy rzeczy ogół sądzi z oddali, że papież, który rządzi samowładnie, odbiera bezpośrednio natchnienia z nieba i używa dogmatycznie poręczonej nieomylności, sam steruje nawą Piotrową. Jest to złudzenie. Jeśli nie Pius IX, który wierzył gorąco i szczerze w swe boskie namiestnictwo i przyrósł do warunków dawnych, to z pewnością Leon XIII, człowiek zimny i sprawami doczesnemi bardzo zajęty, wolałby używać swobody w królewskim Rzymie i po za jego granicami, niż królować nawet w 10 tysiącach pokojów Watykanu. Ale pomimo całej nieomylności i wszechwładztwa jest on zależny od rozmaitych stronnictw pałacowych, które nie wychylają się na zewnątrz, ażeby nie zdradzać rozstroju i niezgody, trzymają jednak swego pana w mocnych rękach. Obecnie przewagę zyskali „nieprzejednani," jezuici, arcykapłani „czarnej międzynarodówki," bądź fanatycy religijni, bądź też politycy i spekulanci, którzy sprawą władzy świeckiej mącą wodę, ażeby w niej łowić ryby całkiem świeckiego gatunku.

Sprawę tę zleżałą i spleśniałą, niezdolną już dziś w narodach wzbudzić ani poważnych myśli, ani głębszych uczuć, a w istocie swej wysoce niemoralną, bo fałszującą chrześcianizm i usiłującą rozedrzeć naród zjednoczony, sprawę tę — mówimy — wywieszono znowu w kilku punktach ultramontanizmu jako sztandar wieku. Podjęli ją biskupi bawarscy, a teraz „przewietrza" zjazd katolików w Wiedniu. Niedawno obraduje, a już zdołał tę kwestyę rozstrzygnąć i uchwalić nagłość dla swego wniosku — przywrócenia papieżowi władzy świeckiej. Właściwie ten wiec nie miał żadnego innego celu, bo dziś cele religijne i moralne wyższego kleru nie zajmują; szło tylko o manifestacyę polityczną, do której każdy stawił się z gotowem hasłem.

Na parę tygodni przed tym zjazdem, żądającym powrotu państwa kościelnego, zdarzyły się we Włoszech fakty bardzo wymowne. Naprzód jeden z pralatów wydał książkę przeciwko „nieprzejednanym," którą umieszczono na „Indexie," autora zaś zmuszono do odwołania „błędów." Wkrótce wszakże wrażenie tego wypadku zatarł inny, jeszcze charakterystyczniejszy. Niejaki ksiądz Augustyn kazanie swoje w kościele zakończył wezwaniem wiernych do modłów za króla, ojczyznę, naród itd., czyli za to wszystko, co leży nie w sercu, lecz w wątrobie Watykanu. Podobno zgromadzeni padli na kolana, wszystkich ogarnęło nadzwyczajne wzruszenie i płacz. Kongres katolicki w Wiedniu tyle pomoże papieżowi do odzyskania władzy świeckiej, ile odezwa księdza Augustyna królowi włoskiemu do pokonania go. Mimo to i jakkolwiek tam przemówili liczni dostojnicy a tu zwykły „pater," jego głos rozbrzmiewa daleko mocniej i posiada większą wagę. Uchwała bowiem „purpur i fioletów" nie wykazuje niczego, o czem byśmy dotąd nie wiedzieli i jest tylko klerykalno-urzędowym adresem do tronu papieskiego; tymczasem wybuch uczuć patryotycznych śród pobożnej rzeszy pod wpływem kilku słów kaznodziei świadczy, że papież nawet w własnej owczarni nie ma oparcia dla swych pretensyj świeckich, że dzieci Kościoła nie stłumiły w sobie miłości dla ojczyzny, że cała ich sympatya dla „polityki" watykańskiej jest powierzchowną, sztucznie wytworzoną. Może nigdy jeszcze „dyplomaci Ojca św." nie otrzymali tak naocznego dowodu omyłki w swych spekulacyach i nigdy może nie zarysowała się im wyraźniej słuszność twierdzenia, że papież nie może posiąść straconej władzy dla własnego bezpieczeństwa, że odzyskawszy Rzym, w kilka dni musiałby go opuścić, wygnany przez te same zbuntowane masy ludu, które dziś uważa za swoich sprzymierzeńców. Dopóki Włochy są całe, nierozbite klinem państwa kościelnego, lud ten, sfanatyzowany przez księży i w biedzie ekonomicznej mający dość powodów do niezadowolenia, może szemrać na rząd i ofiarować swe współczucie Leonowi XIII. Ale niechby ten Leon XIII wystąpił jako władca Rzymu

niechby zmartwychwstały tradycye niszczących i okrutnych rządów papieskich; w ciągu doby przywiązany do Stolicy Apostolskiej „naród“ stopniałby do garści bigotów, unoszących się jak bryła lodowa na wzburzonem morzu. Kto wie, czy wtedy papież nie błagałby tego samego króla włoskiego, którego dziś podminowywa, o pomoc i kto wie, czy za cenę jej nie zrzekłby się wszystkich pretensyj, aby mu tylko pozostawiono kilkanaście tysięcy pokojów, muzea, gwardyę i całe... „dobrowolne więzienie.“

Wypadki czasem schodzą się, jak gdyby umówione i logiczną zależnością związane. Na adresy ultramontańskich zjazdów i wieców biskupich skromny ksiądz rzymski, otworzywszy serca ludu, dał wymowniejszą odpowiedź, niż wszystkie patryotyczne gazety włoskie. Jest to dla „polityki nieprzejednanych,“ dla całej dyplomacyi watykańskiej wymowna przestroga, to, co anglicy nazywają „Hands off.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Kongres katolików, a raczej papistów w Wiedniu sypie szczodrą ręką reformy, mające świat poprawić. Obok protestu przeciwko pozbawieniu papieża „praw królewskich,“ który Leonowi XIII „sprawił wielką pociechę,“ zażądano schrześcianizowania nietylko szkół ludowych i średnich, ale nawet uniwersytetów, a wreszcie postanowiono — tu humor mimowolny znalazł się u szczytu — założyć „instytut papieski dla nauk przyrodniczych“! Śliczne byłyby to nauki przyrodnicze w tym instytucie! Oprócz wszakże zabawnej ruch ten ma i swoją poważną stronę. Wykazuje on nieustający wzrost reakcyi w Europie, wydobywanie się na światło dzienne żywiołów, które jak nietoperze i sowy kryły się dotąd w dziuplach, piwnicach i rumowiskach, a teraz ośmielone usiłują w mrokach zawładnąć życiem ludzkiem.

A jednocześnie — niby dla kontrastu i ironii — Francya obchodzi stulecie wielkiej Rewolucyi. Pozbywszy się Boulangera i jego stada, zatonęła całkowicie w obchodach i wystawie. Ponieważ otwarcie wystawy jest poniekąd złączone z pamiątką historyczną, przeto ambasadorowie wszystkich mocarstw odmówili swego uczestnictwa. Charakterystyczną dla francuzów jest wiadomość, że Antoine, były poseł do sejmu niemieckiego z Metzu, a obecnie kandydat do zbawiania Francyi à la Boulanger, oświadczył, że zawiesza swe roboty agitacyjne na czas wystawy, ale potem znowu je podejmie.

W Berlinie rozpoczęła swoje obrady konferencya samoańska pod przewodnictwem hr. Bismarka. Głoszono, że delegaci amerykańscy, znani ze swej nieprzyjaźni do Niemiec, wyprzysięgli się swojej nienawiści i wyrazili dla nich serdeczność. Nie musieli oni jednak wylać wiele czułości, skoro dotąd nie oglądali oblicza kanclerskiego.

Malońka Szwajcarya znowu zdarła ohydną maskę, którą często i bezwstydnie używa policya pruska, hodująca wysoce niemoralny gatunek szpiegów rewolucyjnych. Mianowicie złapano inspektora policyi z Milhousy, który za pośrednictwem krawca Lutza nietylko śledził socyalistów niemieckich w Szwajcaryi, ale ich wytwarzał. Od czasu słynnego procesu, w którym sądownie dowiedziono, że policya berlińska utrzymywała agenta, który wcisnął się do socyalno-demokratów jako ich współwyznawca, miewał na zebraniach podniecające mowy i uczył swych mniemanych współwyznawców wyrabiać bomby, nikt już nie wierzy wykrętom pism urzędowych, pragnących oczyścić rząd z zarzutu uciekania się do tak niegodziwego środka. Wszyscy więc, którzy nie mają chęci i potrzeby wojowania kłamstwem i okrywania niecnoty, wierzą, że inspektor Wohlgemuth kierował w Szwajcaryi tajemnie fabryczką spiskowców, których potem łowił.

Nie zgarniamy ze stołu politycznego całej garści okruszyn, które na nim tydzień ubiegły rozsypał. Telegraf jest tak głodny, że donosi, iż Boulanger najął mieszkanie prywatne (co to za ważna wiadomość dla ludzi nad Wisłą!), że Izba deputowanych żąda powstrzymania przywozu margaryny, że król włoski, podczas bytności w Berlinie, zawadzi również o Friedrichsruhe, że Bratiano reorganizuje swoje stronnictwo itd. Na większą uwagę zasługuje nowina, że król holenderski, dla którego już grób kopano, wraca do zdrowia i rządów a metropolita Michał — przeciwnik Milana — do Serbii. Spodziewają się po nim unieważnienia rozwodu królewskiego, o czem mocno wątpimy.

Stany Ameryki północnej uroczyście święciły setną rocznicę objęcia prezydentury przez Waszyngtona.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁY ZAWODOWE.

I.

Potrzeba skierowania młodzieży naszej ku kształceniu się więcej w kierunku praktycznym, poświęcenia się pracy zawodowej uznawaną jest prawie powszechnie, a pomimo to dotychczas tylko bardzo niewielka jej liczba kroczy po tej drodze. Przyczyny tego zjawiska szukać należy nie w zapoznawaniu powyższej potrzeby; może jedną z najważniejszych okoliczności jest tu brak informacyj, gdzie i w jaki sposób najłatwiej wykształcenie takie posiąść można.

Terminowanie, które z dawien dawna nie cieszyło się szczególnymi względami, obecnie prawie zupełnie nie należy brać w rachubę. Ogół rozumie doskonale, że posiadanie jakiegoś rzemiosła lub uprawianie zawodu czysto-mechanicznie w naszych czasach na powodzenie liczyć nie może. Zresztą i rzemieślnik nie zdoła obejść się bez najogólniejszych pojęć o świecie, bez początkowych bodaj wiadomości, które zwykle szkoła dostarcza. Z drugiej strony przemawiają za nią i inne względy: nietylko daje ona pewien zasób wiadomości, zaopatruje też wychowańców swych w pewne prawa i przywileje, których nie należy lekceważyć. Jasnem staje się więc, że pomyślne rozstrzygnięcie sprawy wykształcenia za-

---

2)

HOMUNKULUS.

EPOPEJA WSPÓŁCZESNA

Roberta Hammerlinga.

W łonie pani Munklowej (tak się zwała żona nauczyciela wiejskiego) zarodek rozwija się już drogą naturalną i przychodzi na świat w postaci zdrowego dziecka, które jednak wcześnie poczyna zdradzać niezwykłe zdolności. Młody Munkel nasamprzód poświęca się poezyi: jako liryk odkrywa światu, że „na wiosnę pączki kwitną“; jako poeta tendencyjny ogłasza, że „niedole społeczne trapią ludzkość“ — ale ludzkość ziewa przy czytaniu jego „odkryć“ i przechodzi nad niemi do porządku dziennego. Wielki poemat Munkla „Nowe Nibelungi,“ rozchwalony przez krytyków, pleśnieje na półkach księgarskich, skutkiem czego nakładca wymawia poecie swój dom, a jego córka daje mu odkosza. Munkel zostaje wówczas sekretarzem jakiegoś Don Juana, z którym włóczy się po domach gry, trapiony ciągle gorączką złota. Pochodzi ona stąd, że twórca Munkla zamiast żelaza, przez pomyłkę wsypał do jego krwi rudy złotej, która też domaga się nieustannie odnowienia. W pogoni za złotem Munkel przechodzi setki przemian; niema poprostu zajęcia, któregoby nie poznał: był szpiegiem, markierem, złodziejem kieszonkowym, odgadywaczem myśli, socyalistą, jezuitą, konsulem, klownem itd. Ale powodzenie zyskuje dopiero, jako redaktor „Dziennika do wszystkich i dla wszystkich,“ rozsyłanego abonentom darmo, z jedynym warunkiem: czytania ogłoszeń; ogłaszający się w tym dzienniku, płacą z ochotą ogromne sumy. Piszą doń potentaci finansowi, wodzowie partyj politycznych, a wszyscy opłacają Munkla za drukowanie ich artykułów. Cztery siły pracują w redakcyi: czerwony ołówek i nożyczki — jako siły wewnętrzne; trzecią jest buldog, szarpiący łydki nieprzyjaciołom pisma; czwartą — organ odpowiedzialności, inaczej zwany organem siedzenia. Sam redaktor zachował dla siebie zajęcie „przemilczania,“ grubo popłatne; kupuje wszystkich i przez wszystkich jest kupowanym; przymiotniki pochwalne i naganne, wszelkiego gatunku, po stałych cenach sprzedaje z beczek redakcyjnych. Powodzenie to jednak nie zadawala go jeszcze. W chwili powszechnej gorączki przemysłowej, sprzedaje on dziennik jakiemuś towarzystwu akcyjnemu i z całym swoim majątkiem rzuca się na pole „grynderskie.“

Przedsiębiorstwo „wywozu świeżych glist do kamienistej Arabii,“ przynosi mu szalone zyski. Rotszyld i Krezus w porównaniu z nim — to nędzarze. Specyalna maszyna parowa obcina dniem i nocą jego kupony. Posiada zaczarowane pałace, Feniksa na ptasim dworze, Pegaza w zaprzęgu swojej złocistej karety; sam dyabeł służy mu w charakterze murzyna; haremy jego pełne są polek, węgierek i czerkiesek. Usługują mu automatyczne przyrządy, a natomiast w szachy grywa żywemi figurami. Patryotyczne przedsięwzięcie wydobycia z Renu zatopionego skarbu Nibelungów, aczkolwiek nieuwieńczone jeszcze skutkiem, wynosi go na szczyt chwały: imię jego nadawane jest nowoodkrytym planetom i niewyprzedanym krawatom. Z tem wszystkiem jednak Munkel nie jest szczęśliwym: czuje się chorym fizycznie i moralnie, ogarnia go przesyt i nuda; na lukullusowych ucztach nie brak mu niczego—prócz apetytu, w objęciach kochanek niczego — prócz miłości. Wezwani doktorowie całego świata potrafili przetłomaczyć jego cierpienia na język grecki, ale nie przynieśli mu ulgi. Wreszcie na dworze Munkla zjawia się zwabiony nagrodą jego twórca, odkrywa mu tajemnicę jego pochodzenia i chemicznymi środkami jako tako poprawia jego organizm. Tymczasem bogactwa Munkla dosięgły okrągłego biliona; cały świat ciśnie się u jego stóp i składa mu hołdy. Munkel upojony zaszczytami, dostaje obłąkania; podczas urządzonej na jego cześć iluminacyi całuje i tłucze przechodniów, za co dostaje się do szpitala waryatów. Lecz nazajutrz spada olbrzymi „krach,“ który w proch zamienia fortunę Munkla. Ubóstwo przywraca mu rozum, ale rozpacz popycha go do samobójstwa. Biegnie on nad Ren i skacze w fale, lecz od śmierci ratuje go... Któż taki? Loreley, rusałka Renu, a raczej ex-rusałka Renu; dzisiaj bowiem nie chodzi ona już w szatach nimfy, ale w brabanckich koronkach, nie śpiewa na skale, ale

wodowego zależy przedewszystkiem od rozmnożenia się odpowiednich szkół. Zanim jednak to nastąpi, powinniśmy korzystać z niewielkiej, niestety, liczby już istniejących. Chcąc przyjść w pomoc rodzicom, postanowiliśmy zebrać odnośne dane; ogłaszamy je już obecnie, chociaż jeszcze znaczna przestrzeń czasu oddziela nas od chwili, gdy się zwykle rozpoczyna pukanie do wrót tych przybytków, a czynimy to umyślnie, aby rodzice mieli czas rozważyć i wybrać szkołę, ich celom najlepiej odpowiadającą.

Stosownie do ogłoszonej w roku zeszłym ustawy, szkoły zawodowe dzielą się na średnie i niższe: techniczne i rzemieślnicze. Średnie techniczne udzielają wiedzy i uzdolnień, wymaganych od techników, jako najbliższych pomocników inżenierów i innych kierowników przedsiębiorstw przemysłowych. Szkoły niższe uczą rękoczynów jednego zawodu, wiadomości potrzebnych bezpośrednim nadzorcom robotników w zakładach przemysłowych. Rzemieślnicze wreszcie mają praktycznie zaznajamiać uczniów z rękoczynami jakiegoś rzemiosła i udzielać wiedzy i wprawy, niezbędnej do świadomego uprawiania owego rzemiosła.

Każda z tych kategoryj może istnieć osobno lub w połączeniu z innemi podobnemi szkołami różnych stopni i zawodów. Gdy pod jednym zarządem połączone są średnie z niższemi przemysłowemi lub rzemieślniczemi, szkoła podobna nosi miano ogólnej.

Kształcić się w przemysłowych mogą osoby wszelkich wyznań i stanów, o ile założyciele takich szkół prywatnych nie uzyskają od ministra oświaty przywileju na pewne ograniczenia. Od wstępujących do szkoły rzemieślniczej wymaganem jest okazanie świadectwa z ukończenia kursu nauk w elementarnej lub parafialnej, albo też jednoklasowej wiejskiej; kończący szkoły miejskie parafialne mają także wstęp wolny. Od kandydatów do niższej szkoły technicznej wymaganem jest świadectwo z ukończenia kursu nauk miejskiej według ustawy z d. 31 maja 1872 r., albo powiatowej lub też dwuklasowej miejskiej; wreszcie do średniej szkoły technicznej mają wstęp osoby, które przeszły kurs 5-ciu klas realnej lub innego zakładu średniego, którego kurs zostanie przez p. ministra oświaty uznany za równoważny poprzedniemu; przytem p. minister może w tym ostatnim wypadku zarządzić z niektórych przedmiotów egzamina uzupełniające.

Kandydaci nieposiadający powyżej wymienionych kwalifikacyj, mogą być przyjęci do szkół przemysłowych tylko w takim razie, jeżeli pracowali co najmniej dwa lata w zakładach przemysłowych, a przy odpowiednim egzaminie udowodnią, że mogą z korzyścią słuchać wykładów w szkole, do której pragną wstąpić. Przed przyjęciem ich ma jednak zarząd szkoły zebrać dokładne informacye w miejscu ich poprzedniego zatrudnienia.

Uczniowie, kończący całkowity kurs czteroletniej średniej szkoły technicznej, otrzymują tytuł technika swego fachu, kończący dwu lub trzyletnią otrzymują tytuł technika dopiero po dwu lub trzyletniej nieprzerwanej praktyce w jakim zakładzie przemysłowym; jedynie tylko przerwa w tej działalności, wywołana służbą wojskową, nie stoi na przeszkodzie udzieleniu tytułu technika.

Osoby, nieposiadające wyższych praw z tytułu swego pochodzenia, przez uzyskanie tytułu technika otrzymują osobiste obywatelstwo honorowe z uwolnieniem od opłaty taksy; jednocześnie służy im prawo wstępowania bez egzaminu do wyższych szkół technicznych tejże specyalności, a uwzględnieniem ogólnych przepisów co do przyjmowania nowowstępujących kandydatów.

Kończący szkoły niższe techniczne i rzemieślnicze korzystają tylko z tych praw, jakie im ze względu na wykształcenie ogólne przynależą; kończący szkoły średnie zaś, mają w razie wstąpienia do służby rządowej przy udzielaniu rang i odbywaniu powinności wojskowej równe prawa z kończącymi zakłady naukowe średnie ogólnokształcące (gimnazya i szkoły realne).

Powyższymi przywilejami cieszą się tylko szkoły utrzymywane z funduszów skarbowych, prywatne zaś mogą je uzyskać jedynie za każdorazowem zezwoleniem p. ministra.

W szkołach mają być przeważnie wykładane przedmioty, stosujące się wprost do specyalności zakładu, a także zajęcia graficzne i ćwiczenia praktyczne w rękoczynach. Wykład przedmiotów ogólnokształcących ma się ograniczyć na powtórzeniu kursu szkoły przygotowawczej i na dopełnieniu go wiadomościami, jakie wychowańcom ze względu na ich przyszłą działalność praktyczną mogą się okazać niezbędnemi. Szkoły średnie mają najwyżej czteroletni kurs, w niższych technicznych i rzemieślniczych nauka nie powinna trwać dłużej, niż trzy lata.

Przy szkołach rzemieślniczych mają być według możności zakładane uzupełniające (w rodzaju niemieckich Fortbildungsschulen) dla kształcenia robotników zakładów przemysłowych w wolnym od zajęcia czasie.

Szkoły przemysłowe mogą być łączone z ogólnie kształcącemi, przyspasabiającemi do nich. W takim razie wykład niektórych ogólnych przedmiotów może być przeniesiony do klas specyalnych i odwrotnie nauka niektórych przedmiotów stosowanych i robót praktycznych może się rozpocząć przed ukończeniem szkoły ogólnie kształcącej. Jednak w średnich zakładach technicznych nauka przedmiotów stosowanych i roboty praktyczne nie powinny się rozpoczynać przed przejściem przez uczniów kursu ogólnie kształcącego, równoważnego kursowi trzech klas szkół realnych.

Kurs nauk w szkołach zawodowych połączonych z ogólnokształcącemi nie powinien trwać dłużej, niż wymaga tego normalny kurs obu zakładów; a więc szkoły rzemieślnicze, dopełniające wykształcenie ogólne szkół elementarnych do stopnia dwuklasowych szkółek wiejskich, nie mogą mieć kursu dłuższego, niż pięcioletni.

Szkoły przemysłowe jakiejkolwiek kategoryi, połączone z ogólnokształcącemi, nie mogą być łączone ze szkołami przemysłowemi innej kategoryi. Zresztą szczegółowe programy tych szkół i wybór miejsca, gdzie je należy zakładać, stanowią obecnie pracę komisyi, złożonej z przedstawicieli ministeryów oświaty, finansów, spraw wewnętrznych i dóbr państwa.

Zanim praca ta wyda należyte owoce, przypominamy tu, iż do założenia szkoły technicznej prywatnej wymaganem jest zezwolenie ministra oświaty, szkoły rzemieślnicze zaś mogą być zakładane za zezwoleniem kuratorów okręgów naukowych. Szkoły techniczne pozostają pod bezpośrednim nadzorem kuratora, a nadzór nad rzemieśl-

---

w teatrze opery: doprowadziła ją do tego konkurencya dam z półświatka i znudzenie, jakiego doznawała, słuchając bezustannie ochrypłych od piwa filistrów, śpiewających w przejeździe koło jej skały znaną pieśń Heinego o niej: „Ich weiss nicht, was soll es bedeuten...“

Munkel ze swoją zbawczynią zasiada w grocie na brzegu Renu. Przeznaczonem było przez losy spotkać się tym dwóm istotom, jednakowo nadludzkim, jednakowo niezwykłego pochodzenia, jednakowo nigdy i niczem niezadowolonym. Bo i Loreley przechodziła przez setki zmian: była woltyżerką, doktorką medycyny, nihilistką, „niebieską pończochą“ itp., należała do ministrów, bankierów, poetów, kapitanów okrętowych itd. Dzieje jej, które opowiada Munklowi, są dziejami kobiety, która szuka ideału mężczyzny, wszystkim się oddaje i od wszystkich rozczarowana ucieka: nie umiera ona z miłości, ale żyje nią. Podczas opowiadania jej Munkel uczuwa nagle dreszcz, zwiastujący mu, że w pobliżu znajduje się złoto. Jest to ów skarb Nibelungów, którego poszukuje. Jedyna Loreley wie, gdzie się on ukrywa, ale wydobyć go nie może, bo uczynić to sądzonem jest tylko człowiekowi, niesplodzonemu przez ojca. Takim jest właśnie Munkel. Przyszłe wydobycie skarbu z groty nad Renem jest właśnie osnową tajemniczej sympatyi między nim a Loreley. Łączą się oni w tym celu; ona usypia za pomocą hypnozy smoka „o trzydziestu sześciu ogonach,“ on z pod jego straży unosi złoto. Skarbem mają się podzielić. Lecz w obojgu jednakową jest gorączka chciwości, oboje chcieliby posiąść skarb na wyłączną własność. Starają się więc oszukać się nawzajem; jedno chce uśpić czujność drugiego miłosną „paczulą wymowy,“ „perfumowanemi różami“ wyznań — ale oboje są jednakowo chytrzy, oboje czytają w sercach swoich nawzajem, odgadują po za wyrazami miłości pożądanie złota. Czarownemi barwami poezyi nakreślił autor tę skrytą walkę, która kończy się zawarciem sojuszu pomiędzy temi dwoma nadludzkiemi istotami, z których żadna nigdy nie weźmie góry nad drugą. Sojusz ten ma zostać stwierdzony na ślubnym kobiercu.

Nowożeńcy na weselu swojem urządzają wspaniałe, uroczyste widowisko: „literacką noc Walpurgii bieżącego stulecia.“ Na Blocksbergu, niby na Parnasie, biją cztery sztuczne kastalskie źródła. Według zawartych w nich płynów poeci dzielą się na cztery kategorye: poetów wody, piwa, wina i wódki. Pierwsi — melancholijni, wyłącznie uwielbiają swoje wiersze; drudzy i trzeci chorują na wodowstręt; ostatni, potrójnie nieszczęśliwi, posiadają właściwości wszystkich trzech kategoryj. Odbywają się tutaj rozmaite procesye: oto przeciąga grupa poetów „perskich“: karmią się oni kradzionymi w ogrodach Szyrasu owocami, a „womitują gazelami,“ z których Greta i Hans zwą się Sulejką i Jussufem *). Oto zdążają poeci miłości, przybrani w kostiumy średniowiecznych minnezengerów, oto spieszą realiści, poeci „nagiej prawdy“... rozebrani do naga. Literackie dzieciaki, siedząc na łonie mamek, wyrywają sobie wzajemnie włosy. Potwory, karzełki, glisty z oślemi uszami, osły ze skrzydłami orłów, tygrysy o wprawionych cudzych zębach tłoczą się w różnobarwnym nieładzie. Jest tu i profesor Jäger, obwąchiwacz dusz, znajdujący zbyt wiele zaduchu, a zbyt mało ducha. Są tu sławni ludzie minionych i dzisiejszych czasów, pomieszani z osobami zmyślonemi: George Sand tańczy z Faustem, z Dyogenesem, Don-Juanem itd. Niepodobna w krótkiem streszczeniu przedstawić tej pstrokacizny, tego ruchu; zauważymy tylko, że autor z poety zmienia się tu na dziennikarza, który ostrymi zębami szarpie obecną literaturę, razi ją za rozwielmożnione w niej wady, obrzuca jadowitą śliną swoich niemieckich kolegów po piórze, przyczem nieraz daje głos... osobistemu rozgoryczeniu.

Po weselu Munkel z żoną i ze skarbem opuszcza starą, nienawistną mu Europę i na czele garstki kolonistów jedzie próbować szczęścia do nieznanego kraju Eldorado. Jest to ziemski raj, Eden bez węża, kraj wieczystej wiosny, kraj bez pcheł, szczurów, much w herbacie, włosów w zupie, bez doktorów, księży, dyletantów; ziemia, której mieszkańcy nie znają nienawiści, próżności, oszustwa, długów, fałszywych zębów itd. Na tak wdzięcznym gruncie postanawia Munkel zaszczepić nową cywilizacyę, założyć państwo na podstawach rozumu i wiedzy. Prawo czyni bóstwem tego

*) Jest to złośliwy przytyk pod adresem jednego z najmilszych i najwytworniejszych w formie poetów niemieckich, Bodenstedta (Mirza-Schaffy).

niczemi mają dyrektorowie szkół elementarnych.

Z pomiędzy zakładów naukowych już w kraju istniejących, co do zakresu wykładanych w nich przedmiotów zbliżają się najwięcej do powyższych przepisów: Szkoła rzemiosł przy ul. Jasnej, Szkoła miejska rzemieślnicza im. Konarskiego i wyższa rzemieślnicza (właściwie techniczna) szkoła w Łodzi.

(D. n.).

LISTY Z NAD BALTYKU.

„Polska intryga“ w Rydze. — *Rižsk. Wiest.* o *Prawdzie.* — Cyrkularz kuratora. — Reforma wydziału prawnego w Dorpacie. — Rozporządzenie ministra Pauckera. — Koterya inżenierska. — Postanowienia władzy. — Ucieczka redaktora.

W jednym z ostatnich listów wspomnieliśmy o *Düna Ztng.* Pismo tu zajęte badaniem żywiołów szkodliwych, oczywiście zamieścić potrzebowało artykuł nas ściślej obchodzący. Gdy się mówi o pewnym gatunku dzienników, o szukaniu intrygi politycznej — w dodatku „czarnej“ — czyż wątpić można wówczas, że stanie się zadość przysłowiowemu zdaniu: *cherchez le polonais*? To też w artykule o stronnictwach separatystycznych w kraju nadbałtyckim opowiada gazeta o sympatyach i poparciu, jakiego opozycya niemiecka doznaje od polaków tu zamieszkałych, a przeważnie od licznej w Rydze młodzieży studenckiej.

Solidaryzujemy się zaś pono z niemcami dlatego, że wspólny nieć mamy cel: szkodzenie państwu, do którego jesteśmy wcieleni. To ostatnie zdanie, oczywiście, ubrane w kształty i barwy jaskrawiej rzecz całą malujące, nadaje w oczach instygatora wartość całej jego bredni, czyni ją doniosłą. Możnaby wprawdzie z większą słusznością wprost zaprzeczyć tym wywodom; bo rzeczywiście trzeba nie mieć najmniejszego pojęcia o zapatrywaniach i zasadach młodzieży studenckiej, aby ją o to posądzać. *Rižskij Wiest.* przedrukował gadaninę *Düna Ztng.* Obecnie w artykule p. t. „Polskie pismo o sprawach nadbałtyckich“ podaje tłomaczenie naszego listu z nr. 9 *Prawdy*, poprzedzając je krótkim wstępem, w którym ogłasza, iż oczekiwał zaprzeczenia w prasie miejscowej poglądów *Düna Ztng*, a skoro ono nie nastąpiło, z „wielką przyjemnością“ drukuje list nasz, w którym „wypowiedziane są trzeźwe poglądy na stan rzeczy w kraju tutejszym.“ *Wiestnik* nie zastanawia się nad tem, kto to ma owe „zaprzeczenia“ ogłaszać: młodzież — niezajmująca się polityką, reszta naszego ogółu, niemająca powodu wtrącania swoich trzech groszy w sprawy, którym ani przeszkodzić, ani zaradzić niema najmniejszej możności? Zresztą na co by się zdały, prawdę mówiąc, te zaprzeczenia. Czyliż jako gołe słowa mogą być bardziej przekonywającemi od czynów? Przecież od lat dwudziestu kilku, zcśrodkowane w ogniskach życia ekonomicznego, dążność i działalność społeczeństwa naszego sama przez się jest zaprzeczeniem tych i tym podobnych oszczerstw. Komu fakty takie nie wystarczają, kim zła wola kieruje, czyż go zapewniać, uspokajać i przekonywać warto?

Cyrkularz ostatni p. kuratora okręgu naukowego mieści nader doniosły Ukaz w sprawie reformy uniwersytetu dorpackiego, będący odpowiedzią na raport p. ministra oświaty. Statut wszechnicy dorpackiej, pisze p. minister, wielce wyróżnia zakład ten od innych uniwersytetów państwa. „Najważniejszą osobliwość stanowi niewątpliwie wykład wszystkich przedmiotów w języku niemieckim.“ Wobec reformy sądownictwa i wogóle administracyi kraju, szczególną uwagę zwraca na siebie wydział prawny. Należy przeto wprowadzić wykład w języku ruskim i wogóle „jest koniecznem sposób wykładania na fakultecie prawnym w Dorpacie zbliżyć z tym, jaki panuje w innych uniwersytetach.“ Dalej następują wyszczególnienia katedr, które mają być przekształconemi, w sposób uzyskania potrzebnych na to sum itp. Otrzymał projekt ten sankcyę Najwyższą. Jak prędko atoli zostaną nowe przepisy zastosowane — trudno w tej chwili przesądzać*). Reforma ta nie była żadną niespodzianką. Prawny wydział niemiecki w Dorpacie, wśród dziś istniejących warunków, stracił racyę bytu. To, że tylko jego przekształcono, wskazuje na pewną jeszcze długotrwałość obecnego stanu na innych fakultetach, którym przed półtora rokiem już wróżono tylko trzechletnie istnienie. Niektóre pisma ruskie, jak *Nowosti, Wiestnik Jewropy*, bronią bytu niemieckiej wszechnicy w Rosyi, jako pośrednika w stosunkach z zachodem naukowym.

Zmarły niedawno nowy minister komunikacyi Paucker, pochodzący z kraju nadbałtyckiego, zdążył, w czasie krótkotrwałej swej władzy, oddać usługę niemałą tutejszej politechnice. Pozwolono na przyszłość udzielać posady rządowe inżenierom, którzy pokończyli, z prawem wykonywania robót publicznych, różne zakłady naukowe w Rosyi. Prawo to, nader ważne, znosi monopol jaki — pieszczoch petersburski—Instytut komunikacyi dotychczas posiadał. Korporacyjne poniekąd uorganizowanie się wychowańców tego zakładu, czyli t. zw. *putiejców*, wykluczało wszelkie zawodowe współzawodnictwo i, jak zwykle, nie sprzyjało rozwojowi samej inżenieryi. Mniejsza, co umiał, byle posiadał dyplom i „orzełek,“ byle z godnością potrafił w towarzystwie

*) Jak zawiadamia telegraf, ogłoszony został rozkaz, polecający zamienić katedrę prawa nadbałtyckiego w uniwersytecie dorpackim na katedrę prawa cywilnego ruskiego, z pozostawieniem drugiej katedry do wykładu prawa miejscowego. Katedrę prawa ruskiego zamienić na katedrę historyi prawa ruskiego. Wykład prawa państwowego i międzynarodowego ograniczyć do samego wykładu prawa państwowego, powierzając czytanie prawa międzynarodowego docentowi. Dalej ustanowić katedrę prawa policyjnego, katedrę ekonomii politycznej przenieść z fakultetu historyczno-filologicznego do fakultetu prawnego, połączywszy z nią wykład statystyki. Na wydziale prawnym wprowadzić wykłady encyklopedyi i filozofii prawa, prawa kościelnego i finansowego. Do wykładu ustanowić pięć docentur. Przy obsadzaniu wyszczególnionych katedr wykładającymi, bądź to ruskimi, bądź też osobami, które się zobowiązały do czytania lekcyj w języku ruskim, wyznaczyć im płace według etatu profesorów uniwersytetów ruskich. Tym z pomiędzy profesorów, którzy na istniejących już katedrach będą czytali lekcye w języku ruskim, wyznaczyć dodatkowe płace po 600 rs. profesorom zwyczajnym i po 300 rs. profesorom nadzwyczajnym.

---

państwa, a uosabia je w postaci kauczukowego paragrafu, zawieszonego w świątyni, „bo prawo daje się tak kurczyć i rozciągać jak kauczuk i pozwala się tak obracać w dół lub w górę bez zmiany pozoru, jak paragraf.“ Munkel jest prorokiem prawa w nowem państwie; drugie miejsce zajmują ministrowie i parlament. Partye polityczne dzielą się wedle kierunku wiatrów; panują i upadają według tego, jaki wiatr wieje. Dla rozstrzygnięcia głosujący wstępują na szale olbrzymiej wagi, zawieszonej w parlamencie; to „ważenie głosów“ zapewnia zwycięztwo prawdzie „przynajmniej tak dobrze, jak stare liczenie.“ Prawo kryminalne opiera się na pewnikach statystycznych: tylko zbywający nad przeciętną cyfrę przestępcy są karani; dziesięciu rzezimieszkom dziennie wolno plądrować kieszenie na placach, jedenasty bywa wieszany, o ile go nie uwolni wygrana adwokata w grze szachowej z sędzią. Handel rządzi się zasadą: decipi vult mundus, ergo decipiatur, co zresztą nikomu krzywdy nie czyni: fałszywymi bowiem pieniędzmi płaci się fałszywano towary. W sprawach religijnych panuje tolerancya, w sprawach nauki streże jedności przekonań inkwizycya. Poprzestajemy na tych szczegółach, które dają częściowe pojęcie o sarkazmach, jakimi autor smaga obecne stosunki społeczne i polityczne. Dalsze dzieje państwa Eldorado przybierają smutny obrót. Zuchwały tchórz, demagog, Lew Zając (Leo Hase), walczący w imię „świętego prawa mniejszości,“ na czele owej mniejszości napada na partyę większości, zajętą eksploatacyą złotych gór i pobija ją na głowę. Loreley, dowodząca pułkiem amazonek, zaskoczona wraz z wojskiem w „wojskowych negliżach,“ oddaje się zwycięzcy. Na zakończenie wulkan Eldorado wybucha złotą lawą i zasypuje chciwych złota kolonistów. Munkel ucieka...

Po tylu smutnych doświadczeniach, straciwszy wiarę w dzisiejszą ludzkość, „zmurszałą i zepsutą do szpiku kości,“ wpada na myśl ucywilizowania małp. Plan jego bardzo jest prosty: proces rozwojowy, wypróbowany już raz przez naturę z pomyślnym skutkiem, trzeba powtórzyć na krótszej drodze, aby uczłowieczyć resztę małp. Jak ongi z Biblią i mieczem, tak obecnie z elementarzem i z pałeczką rozesłano misyonarzy na wszystkie strony. Założone w tysiącznych punktach szkoły wydają znakomite rezultaty. Małpy nauczyły się czytać, pisać, grać, śpiewać, tańczyć. Wkrótce nietylko dorównały ludziom, ale ich nawet przeszły. Płeć żeńska kokietuje i ubiera się modniej od naszych dam, boć przecież moda jest tylko... małpowaniem; samce zapełniają laboratorya i akademie: kozkodan obejmuje katedrę uniwersytecką. Małpy na najwyższe urzędy wdrapują się z niezrównaną, a właściwą tej rasie zręcznością. Ludzie poczynają udawać małpy, ażeby się wkręcić pomiędzy nie. Hypoteza Darwina pozostaje odwróconą: małpy uznają się za wyższy szczebel rozwoju, a wkrótce zaczynają się wywodzić od starożytnych sylwanów i faunów. Wyrazów „humanitarny,“ „ludzki,“ używają w znaczeniu pogardliwem; słowo „zwierzęcy“ oznacza pochwałę. Swojego dobroczyńcę Munkla mają w pogardzie, ponieważ jest człowiekiem, nazywają go ignorantem za przeczenie ich wywodom naukowym, a odkrywszy, że jest sztucznym fabrykatem, chcą go rozłożyć na pierwiastki w retorcie. Munkel, wyszydzony przez małpy, znienawidzony przez upokorzonych w swej dumie ludzi, żałuje swego pomysłu i ucieka. Tymczasem państwo małp pod wodzą króla Długorękiego I-go rozszerza się, mieczem zagarnia prawie cały świat. Pozostaje zawojować jeszcze tylko Indye. Atoli chytrzy indyanie, znający niewygasłe dotąd instynkty małpie, w walce z niemi używają fortelu: rzucają pomiędzy szeregi kosze fig i daktylów — naturalnie zatrutych; małpy ulegają popędowi łakomstwa, giną, a państwo ich upada. Król Długoręki sprzedany do menażeryi z tęsknoty za minioną potęgą umiera i znajdują go w klatce, martwego, w siedzącej pozycyi, „w takiej samej, w jakiej znajduje się cesarz Karol w grobowcach Akwisgrańskich.“

W pieśni tej (Affenschule), dotkliwie wyszydzającej małość natury ludzkiej, autor wznosi się niecraz do potęgi humoru Swifta, kiedy ten przeciwstawia człowieka koniowi na korzyść tego ostatniego.

Następuje pieśń VIII „W Nowym Izraelu,“ najbardziej konsekwentna i skończona w sobie, w której pierwiastki satyryczne i fantazyjne układają się najzgodniej na poetycznej kanwie. Podajemy ją w przekładzie.

(D. c. n.).

nosić mundur, dla którego niejednokrotnie starano się o tego rodzaju „potrzebne," dla inżeniera np. kolejowego, ozdoby. Skargi na szablonowy sposób obchodzenia się z robotami niejednokrotnie słyszano. Według „ustawy" na kilka posobów budowały się karkołomne drogi żelazne. Dobrze gdy chodzi o kolej w stepach, ale niechno wydarzą się błota, nierówności, grunt w okresie formowania się jak naprzykład w Inflantach, toż dopiero powstaje kolej, toż dopiero „kukujewki!"

Na zakończenie kronika drobnych wypadków. Władze kazały drukować afisze teatralne w dwóch językach: w niemieckim i ruskim. Na szyldach dorabiają napisy w tym ostatnim języku. P. gubernator obwieścił, iż nadal niemieckie urzędowne sprawozdania z posiedzeń rad miejskich itd. ogłaszane będą w *Düna Ztng.* Redaktor sędziwego wiekiem i poglądami *Timesa* ryskiego — *Rigasche Ztng*, p. Buchholtz, nagle znikł bez wieści z Rygi; z tego powodu zawieszono wydawnictwo gazety, do czasu uzyskania zatwierdzenia nowego redaktora. Nakładcy na to wybitne, jak na tutejsze stosunki, stanowisko, kierują p. Kroegera, który dotychczas wespół z p. Schwartzem podpisywał się jako wydawca gazety.

R.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZŁOTA GORĄCZKA.

P. Janczukowski, młody technik, mający przez kilka lat do czynienia z przemysłem złotym na Syberyi, odkrywa ciekawe z tej dziedziny sprawy, nieznane u nas wcale i dotąd gruntowniej nieco traktowane przez jedyne w całem państwie pismo *Przegląd wschodni*, wychodzący w Irkucku. Najponętniejsza i największe mająca znaczenie ta gałąź przemysłu traktowaną jest dotąd pierwotnie na olbrzymich obszarach syberyjskich. Całą praktykę opierano na... losie szczęścia, na doświadczeniach empirycznych. Ludzie ciemni odbywali poszukiwania na tajgach i w rzeczkach, często znajdowali bogate pokłady złota, ale częściej zakopywali bezpowrotnie własne pieniądze. Rzecz bardzo prosta, iż z początku bogactwo natury, przez nikogo nietknięte, łatwo się dawało odnajdywać pod bardzo niewielką warstwą ziemi lub w korytach rzek. Dziś o tem złocie, świecącem na wierzchu, pozostały tylko podania. Musiano następnie używać większego nakładu pracy; mięśnie ludzkie już nie wystarczały, więc próbowano, o ile można, posługiwać się siłą przyrody, ale nieumiejętne jej zastosowanie nie wydało świetnych rezultatów.

W miarę odkrywania pokładów złota, płynęły na Syberyę olbrzymie kapitały. Obok drobnego w tym zakresie przemysłu, pojawiły się wielkie przedsiębiorstwa, rozporządzające milionami. Nad Amurem istnieje obecnie kilka takich wielkich towarzystw: Górno-Amurskie, Zejskie i Nimańskie. Nad Olekmą również się rozwinęły wielkie przedsiębiorstwa. Zrazu najbardziej nęciły tomskie i jenisejskie tajgi. Obecnie po wyczerpaniu bogatych pokładów, pracują tam mali przedsiębiorcy. Potężni posunęli się dalej nad Amur i Olekmę. Tam są dziś jeszcze największe bogactwa. Jedna tylko miejscowość Dżylinda w ciągu kilku lat dała 2,700 pudów złota. Zobaczmy, w jaki sposób odbywają się tam roboty. Chociaż technika w ostatnich czasach zrobiła tam pewne postępy, jak drogi żelazne podjazdowe, dynamit, roboty szachtowe itd., ale to wszystko pozornie tylko sprawia wrażenie postępu. W gruncie rzeczy organizacyjny system pracy pozostał dawny, rutyniczny. Przy poszukiwaniach najważniejszym przewodnikiem jest *przypadek*; ani mapy, ani geologowie nie są tam znani. P. Janczukowski opowiada fakt znamienny, iż przybycie nad Amur jednego geologa zrobiło przewrot w dotychczasowej praktyce; przekonano się, iż złoto powinny być tam, gdzie istnienia jego wcale nie przypuszczano. Dotąd przeważa wszędzie system rabunkowy — z jak największem wyczerpaniem sił ludzkich. Zarządzający, stanowią kastę ludzi, niecieszącą się ani sympatyą, ani opinią dobrą; znani są tylko jako niezmierni bogacze, wyzyskujący pracę ludzką. Jeśli dotychczasowy system eksploatacyi złota potrwa dłużej, można wróżyć tak prędkie wyczerpanie nad Amurem, jak w Syberyi zachodniej. Wtedy przesilenie może przybrać groźne rozmiary.

Na wielką uwagę zasługuje drobny przemysł złoty, którego największe siedlisko jest teraz w gub. tomskiej, jenisejskiej, tudzież trochę nad Olekmą i za Bajkałem. Przedsiębiorstwo to jest nadzwyczaj różnorodne. Są spekulanci uprawiający przemysł na małą skalę, z wysiłkiem i w miejscach wyzyskanych już przez wielkich przedsiębiorców grzebią się jak krety i przy najmniejszym wypadku nieakuratności względem przepisów prawnych giną bezpowrotnie. Dzieje się im rozmaicie; jeśli na własną rękę nie mogą złota znaleźć, nabywają cudze, rabowane, handlują spirytusem itd. Tacy przedsiębiorcy trzymają się zwykle przy wielkich towarzystwach, żywią się ich okruchami. Niektórzy urządzają się w ten sposób, że pozostawiają robotnikom swobodę poszukiwania złota, sami zaś nabywają od nich. Przemysł ten tak jest rozpowszechniony, że się biorą do niego nawet włościanie. Tym sposobem potajemne kopanie złota rozwija się coraz bardziej, czemu wielce sprzyjają liczne formalności i ograniczenia prawne. Przywilej zajmowania się przemysłem złotym tak jest kosztowny, że zawne jego prowadzenie jest niepodobieństwem, szczególnie dla ludu, który wie o istnieniu złota w pobliżu swych mieszkań. O ścisłej kontroli pod tym względem niema mowy; pochłonęłaby ona olbrzymie sumy i nie przyniosłaby żadnego rezultatu; są bowiem takie złotodajne miejscowości na tajgach, o których tylko lud miejscowy może wiedzieć.

Niewykształconym lub zupełnie ciemnym masom wydaje się, iż odnalezienie rudy złotej dobrobyt może zapewnić. Pod wpływem takiego pojęcia rozwinęła się na całej Syberyi złota gorączka. Każdy kto tylko mógł, rzucił się do poszukiwania drogocennego kruszcu, nie myśląc o innych sposobach zapewnienia bytu. Nikt u nas nie ma pojęcia, ile chłop syberyjski marnuje czasu i sił dla odnalezienia okruszynki złota, za pomocą najpierwotniejszych, mozolnych sposobów. Tymczasem leżą odłogiem obszerne pola pracy, na których można byłoby już oddawna rozwinąć różnorodne gałęzie przemysłu. Ludność syberyjska doprowadziła siebie do upadku ekonomicznego. Ten błąd tłumów nie poraz pierwszy już się powtarza. Po odkryciu Meksyku, europejczycy, a na ich czele hiszpanie tłumnie śpieszyli do Ameryki dla poszukiwania bogactw; doktryna merkantylizmu urosła w gmach olbrzymi i... rozsypała się w proch pod wpływem racyonalniejszych zasad ekonomii. Ileż to wielkich bankructw Hiszpania wtedy poniosła skutkiem wyznawania merkantylizmu! Dziś i Ameryka i Australia przyszły do przekonania, że pogoń za fikcyjnem bogactwem do ruiny tylko doprowadzić może.

Jedna Syberya dotąd jeszcze jest w stanie opłakanym; gorączka złota wzmaga się, a jednocześnie coraz mniej z każdym rokiem skarb otrzymuje kruszcu drogocennego. Co to jest? Przedewszystkiem ogromnie rozwinięty system wyzyskiwania pracy roboczej; następnie niesłychane ograniczenia swobody przemysłu. Robotników otoczono taką kontrolą, że nie wolno im wrócić do domów, zanim nie będą zrewidowani przy rozbieraniu do naga. „Nie wierzą nam, uważają za złodziejów? A więc bądźmy złodziejami!" I są nimi; pomimo kontroli umieją wynosić złoto. Na olbrzymich obszarach tajg rozwinęło się i spotężniało przemytnictwo, a obejmujące nie setki, lecz tysiące pośredników. Złoto idzie do Chin, gdzie znajduje dobrze płacących nabywców. Jeśli przy jednym z systemów poszukiwań przedsiębiorca płaci robotnikowi 3 ruble za pewną ilość znalezionego złota, to czyż nie lepiej udać się do chińczyka, który za tę samą ilość da 5 rs., tj. tyle, ile żaden przedsiębiorca nie będzie ryzykował zapłacić. Oto jest przyczyna, dlaczego skarb coraz mniej złota otrzymuje. Jedynie tu może zaradzić złemu pozostawienie zupełnej swobody tej gałęzi przemysłu. Gdyby nadano większe przywileje i poparto drobnych przedsiębiorców, niewątpliwie produkcya złota wzmogłaby się z korzyścią dla ludności miejscowej i dla skarbu.

Zenon Pietkiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

SOCYOLOGICZNE POGLĄDY HERBERTA SPENCERA.

II.

Wiemy już, że dzieje rodu ludzkiego są dla Spencera przedewszystkiem tylko pojedynczą cząstką ogólno-kosmicznego rozwoju i podlegają tym samym zasadniczym prawom, co i inne dziedziny wszechświata. Mianowicie nie przedstawiają one w swym przebiegu niczego więcej nad skupianie materyi z równoczesnem rozpraszaniem ruchu, przyczem sama budowa gromadzonej materyi staje się coraz bardziej złożoną, niejednostajną, jakkolwiek zwartszą i spójniejszą. Przyglądając się przedmiotowi z tego stanowiska, myśliciel angielski usiłował skreślić też ostateczny wynik dziejów ludzkich, ku któremu z konieczności zmierza rozwój kosmiczny w zakresie naszego gatunku. Będzie to okres zupełnej równowagi działających wśród człowieczeństwa sił z siłami zewnętrznemi, czyli chwila doskonałego przystosowania się do warunków bytu. Lecz nastanie to dopiero wtedy, gdy ród ludzki dosięgnie możliwego dla siebie na globie ziemskim skupienia (tj. zupełnie go zaludni). Szemat powyższy, którego skreśliliśmy jedynie punkty wytyczne, nie kusząc się o szczegółowsze przedstawienie treści, w ciągu dalszym wymaga tylko przetłomaczenia z jednej strony na język biologiczno-psychiczny, z drugiej — na socyologiczny, ażeby można było otrzymać istotny przebieg rozwoju wśród człowieczeństwa. W ten sposób, przed bliższem zaznajomieniem się z dziedziną społeczną, jedynie na podstawie rozwoju ogólno-kosmicznego, dostajemy już poniekąd z góry, drogą nawskroś apriorystyczną, zawartość dziejów ludzkości. O tym fakcie prosilibyśmy czytelnika nie zapominać, gdyż stanowi on klucz do zrozumienia najgłówniejszej wady socyologicznych wywodów Spencera.

Przystąpić teraz należałoby do uskutecznienia tego punktu. Lecz przed tem wypada nam zaznajomić się z poglądami socyologa angielskiego na istotę społeczeństwa. Jest ono w jego rozumieniu istnością tj. pewnym przedmiotem realnym, co je stanowczo odróżnia od zbiorowisk w rodzaju np. osobników, stanowiących jakiś gatunek. Cała trudność polega na tem, do jakiego rodzaju przedmiotów winniśmy zaliczyć tę istność, gdyż na pierwszy rzut oka jest ona odmienną od wszystkich innych z któremi zaznajamiają nas nasze zmysły

Naturalnie, nie należy ona do klasy skupień nieorganicznych, ponieważ składa się z osobników żyjących. Jeżeli trzeba już poszukiwać dla niej jakiegoś podobieństwa, można to uczynić tylko w zakresie stosunków, właściwych światu organicznemu. Tą drogą Spencer dochodzi do twierdzenia, iż pomiędzy częściami żyjącego organizmu a rozwijającego się społeczeństwa istnieje ścisła równoległość w uporządkowaniu i powiązaniu składników, czyli że i samo społeczeństwo jest niczem innem, jak szczególnego rodzaju organizmem. Przyjrzyjmy się jego dowodom w tym względzie. Otóż zarówno pojedynczy organizm, jak i społeczeństwo wzrastają (już przez naturalne rozmnażanie się, już łączenie się niezależnie istniejących skupień), przytem, w miarę powiększania się ich objętości, wzrasta złożoność budowy wraz z postępowem różniczkowaniem czynności. W skupieniu i społecznem i organicznem nastające zmiany określają się nawzajem i wzajemnie od siebie zależą, zawisłość zaś taka wzmaga się z postępem rozwoju. Oddzielne części i tu i tam związane są wymianą usług coraz bezwzględniejszą i doskonalszą; im wyższy szczebel rozwojowy spotykamy, tem podział społeczny pracy ściślej odpowiada fizyologicznemu. Tę prawdę pojmiemy dobitniej, jeśli zważymy, iż życie każdego z organizmów żyjących jest wypadkową życia składających go jednostek, zbyt drobnych nieraz, aby można było dojrzeć je gołem okiem. Dość chociażby zatrzymać się nad budową ciała ludzkiego, gdzie prócz niesamodzielnych komórek spotykamy jeszcze inne, posiadające znaczny stopień niezawisłości. Białe np. ciałka krwi wykonywają ruchy samodzielne jak ameba; można je karmić żywnością zabarwioną, a dostrzeżemy, że zbiera się ona we wnętrzu ciałka; w niektórych wypadkach widywano jak bezbarwne ciałka krwi pożerały drobniejsze swe towarzyszki — czerwone. W istocie, pojedynczy organizm jest przeto tylko społeczeństwem komórek. Zresztą nietrudno spostrzedz pomiędzy życiem skupienia osobniczego a społecznego jeszcze inną wspólną cechę. Klęska jakaś może zburzyć bytowanie gromadzkie komórek lub osobników, nie burząc bezpośrednio życia wszystkich części składowych; np. serce po wyjęciu może wykazywać drgania w przeciągu jeszcze kilku godzin, podobnie jak czynności i jednostki społeczne—przeżyć katastrofę, która dotknęła społeczeństwo. Z drugiej strony, życie całości, jeżeli nie zostanie zburzonem w jakiś gwałtowny sposób, jest daleko dłuższem, niż życie jednostek — komórek w pojedynczym organizmie, osobników w społeczeństwie. Słowem, rozpatrując oddzielny organizm i skupienie społeczne, mamy, zdaniem Spencera, równoległość stosunków i w przebiegu rozwojowym i w każdorazowym ukształtowaniu budowy. Jednakże w tem oświetleniu napotyka się na poważną przeszkodę, mianowicie podczas gdy części zwierzęcia tworzą całość spoistą a zwartą, tymczasem społeczeństwo przedstawia całość rozdzielczą. Jednostki żywe, które składają się na utworzenie pojedynczego organizmu, złączone są z sobą stosunkiem ścisłego przylegania, osobniki zaś, wchodzące w skupienie społeczne, są mniej więcej rozpierzchłe i nie pozostają z sobą w zetknięciu. Różnica ta byłaby zasadniczą, gdyby nie dało się znaleźć w organizmie podobnego poniekąd oddzielenia (nie wdajemy się w nużące szczegóły) i gdyby członkowie społeczeństwa nie mogli w żaden sposób oddziaływać na siebie z oddalenia — za pośrednictwem języka ucznć oraz pisanej i ustnej mowy rozumu. Ostatecznie, społeczeństwo jest swego rodzaju organizmem, lecz bez materyalnego, ogólnego „sensorium." Za tem też idzie, że jego rozwój podąża według tych samych zasad, co i ewolucya jestestw świata organicznego. Spencer przeprowadza porównywanie drobiazgowe. Dla przykładu weźmy jeden ustęp — o rozwoju ogólnych władz i warstw społeczeństwa. W najniższych połączeniach komórek (koloniach prostych) niema jeszcze najmniejszego pomiędzy temi ostatniemi zróżniczkowania; na wyższych szczeblach zespolenia, jak np. u najniższych jamochłonnych, komórki już tak się ułożyły, iż stanowią dwie warstwy, wewnętrzną i zewnętrzną. W biegu ewolucyi organicznej z pierwszej powstają organy odżywcze, z drugiej szkielet, organy zmysłów, układ nerwowo-mięsny. Z czasem, w miarę podążania poprzedniej specyalizacyi, ukazuje się jeszcze trzeci szereg narządów, mających na celu rozmieszczenie w organizmie pokarmów (układ krwionośny). Podobny bieg przedstawia też ewolucya społeczna. W najniższych społeczeństwach, zwykle małoludnych, nie spostrzegamy żadnego zróżniczkowania pomiędzy członkami. Każdy osobnik jest wytwórcą i zarazem spożywcą, bez żadnej woli cudzej po za swoją własną. Z upływem czasu następuje zróżniczkowanie— wydziela się powoli władza zaczepno-odporna i zarazem kierująca, wznosząca się na podkładzie ludności pracującej. Mamy tu do czynienia z powstawaniem układów mięsno-nerwowego i odżywczego wśród społeczeństwa. W miarę wzrastania właściwych im czynności zjawia się potrzeba nowego układu — krwionośnego, występuje warstwa kupiecka. W powyższym zarysie daliśmy jedynie najogólniejsze przedstawienie co do porównań, które wysnuwa socyolog angielski. Nie poprzestaje on na tem, ale zapuszcza się w różne drobiazgi. Ażeby czytelnik miał o tej szczegółowości jakie takie pojęcie, zatrzymamy się nad analogiami, wyprowadzanemi z powodu dróg komunikacyjnych. „Pod naciskiem potrzeb handlu do dróg zwyczajnych przyłączyły się koleje żelazne, które, zamiast jednej linii w obu kierunkach, posiadają zazwyczaj linię podwójną, w jedną i drugą stronę, na podobieństwo dwoistego układu rur, przez które u zwierząt wyższych krew bieży od środka oraz ku środkowi. Tak samo jak w wykończonym układzie krwionośnym naczynia wielkie są najbardziej proste, te co idą od nich — mniej proste, gałązki wychodzące od tych — jeszcze bardziej powyginane, zaś naczynia włoskowate—najbardziej kręte ze wszystkich; tak samo też widzimy, że owe główne linie komunikacyi w społeczeństwie są najbardziej wyprostowane, drogi drugorzędne mniej proste, parafialne zbaczają jeszcze bardziej itd., aż do dróg wozowych, prowadzących przez pola" — itd. Lecz jak mamy do czynienia z rozmaitymi stopniami zcałkowania i zróżniczkowania organicznego wśród dojrzałych osobników różnego gatunku, lubo wszystkie te rozmaite formy wyszły z jednakiej, pierwiastkowej, podobnie to samo da się powiedzieć o istniejących skupieniach społecznych. Naprzód, społeczeństwo może przedstawiać różny stopień złożoności. Widzimy np. pojedyncze hordy, jak wśród buszmanów, które stoją niezależnie od wszelkiej innej; to znowu inne, znajdujące się już w pewnym, chociażby słabym stosunku; jeszcze inne, jak ustroje cywilizacyjne, gdzie zawisłość różnych części jest nader obszerną i zawikłaną. Rozmaite te społeczeństwa w ciągu dalszym mogą się opierać na rozmaitym ustosunkowaniu narządów; jedne są wojowniczemi, kiedy zwłaszcza rozwiniętą jest organizacya obrony i napadu, drugie znowu— przemysłowemi, gdzie przeważa układ narządów, utrzymujących i wytwarzających. Naturalnie, i sam rozwój organizacyi obrony i napadu może być rozmaitego napięcia—już ze stałem kierownictwem, już czasowem—itd.

Takim jest całokształt Spencerowskiej teoryi organizmu społecznego, oraz podstawy, według których próbuje myśliciel angielski uporządkować istniejące ustroje — po za te ramki klasyfikacyjne nie wybiega on ani w jednym ustępie swego olbrzymiego dzieła. Wysnuta przez niektórych badaczy klasyfikacya społeczeństw na osobowe i terytoryalne jest dla Spencera rzeczą nieznaną; rozmaite uspołecznienia są tylko takiego lub innego typu organizmem — oto i wszystko.

A teraz, kiedyśmy skreślili, jaką jest w rozumieniu Spencerowskiem istota społeczeństwa, możemy znowu wrócić do przerwanego wątku wykładowego, tj. do przetłomaczenia dziejów rodu ludzkiego w terminach materyi i ruchu na język zrozumiałszy. Historya człowieczeństwa jest ewolucyą życia, która ze stanowiska kosmicznego zmierza ku zrównoważaniu zawartych w świecie organicznym sił z zewnętrznemi; w języku biologicznym dążność tę możemy określić inaczej, mianowicie jako coraz doskonalsze przystosowywanie się istot żyjących do coraz dalszych współczesności zewnętrznych i bardziej odległych w czasie następstw. Organicznie ród ludzki w ten sposób zastosowywa się coraz bardziej do warunków klimatu, pożywienia itd.; umysłowo zdobywa coraz większe panowanie nad przyrodą. W ostatecznym rezultacie, zaludni on cały glob ziemski, ujarzmi naturę, zniesie dowolność w wydawanych przez nią wytworach, wreszcie jego siła rozpłodcza dojdzie do takiego stanu, aby dalsze zaludnienie utrzymało się na stałym a niezmiennym poziomie. Tę biologiczną i psychiczną przyszłość człowieczeństwa twórca filozofii syntetycznej kreśli w *Zasadach* biologii i psychologii, niektóre zaś stronice, jak np. traktujące o antagonizmie pomiędzy energią, obracaną na utrzymanie gatunku, a zużywaną na potrzeby osobnicze (w tej liczbie umysłowe), należą do arcydzieł nowoczesnej antropologii. Na tle tego biologiczno-psychicznego rozwoju ludzkości — organicznego, podąża jeszcze społeczny, czyli, jak Spencer go zowie, nad-organiczny. Kosmicznie polega on na skupieniu materyi oraz rozpraszaniu ruchu, przyczem materya przechodzi od stanu nieokreślonej i niespojonej jednorodności ku wyraźnie określonej i zwartej różnorodności. W terminach socyologicznych ewolucya społeczna zasadza się na zwiększaniu zaludnienia, które rozpada się na coraz różnorodniejsze, lecz jednocześnie coraz bardziej zcałkowane i zależne nawzajem grupy i urządzenia pod względem swych czynności. Z drugiej strony wiemy, że ów rozwój jest tylko powstawaniem swego rodzaju organizmów. W ten sposób i zależność pomiędzy ukazującemi się grupami, oraz natura i zadanie tych ostatnich są ukształtowanemi według odpowiedniego wzoru — pojedynczego organizmu i jednocześnie zbudowanemi do wymagań zewnętrznych. Tem to stanowiskiem można wyjaśnić rozczłonkowany charakter Spencerowskiej socyologii, rozpatrującej w oderwaniu od siebie rozwój urządzeń społecznych (politycznych, rodzinnych itd.), jak gdyby w samej rzeczy istniało tyleż niezależnych od siebie dziedzin ewolucyjnych. Byłby to błąd nie do darowania, gdyby nie owa teorya organizmu społecznego, która, wyjaśniając rozwój socyologiczny jako sprawę rośnięcia, podaje z góry wzór dla zależności pomiędzy rozwojem poszczególnych instytucyj. Dzięki też temu, jakkolwiek zaledwie ukazała się połowa zapowiedziana *Zasad socyologii* możemy spróbować wyznaczyć prawdopodobną w rozumieniu myśliciela angielskiego przyszłość socyologiczną rodu ludzkiego. Ma to być „a stationary state" (stan zastoju). „Zrównoważenie sił" wymaga, aby nie było żadnych starć wśród ludzkości, należy przeto przypuścić, iż na globie ziemskim istnieć będzie jeden olbrzymi organizm społeczny, oparty na przemysłowości i bez żadnych żywiołów zaczepno-odpornych wojowniczości. Stosunki społeczne dojdą do odpowiedniego skrystalizowania stałego, zmiany więc w wymianie, obiegu itd. podlegać będą jaknajmniejszym wahaniom. Zbrodnia, która jest brakiem równowagi, usta-

nie. Zatarg pomiędzy wiarą o naukę zostanie załatwiony w zgodnej syntezie. Rozterka pomiędzy pożądaniami osobniczemi a moralno-prawnemi równie zniknie. Społeczeństwo będzie się opierało na wolnej a dobrowolnej kooperacyi członków oraz poszanowaniu woli jednostkowej. Sądząc z *Statyki społecznej*, można mniemać, że ów organizm przemysłowo-międzynarodowy będzie opierał się na unarodowionem władaniu gruntami. Taki to obraz widnieje z urywków, rzucanych tu i owdzie w pracach Spencera; być może, w ostatniej części *Socyologii* sprowadzi on je do wspólnego mianownika *).

Pozostaje się nam jeszcze jedna sprawa— ogólnej krytyki przytoczonych zapatrywań wraz z wyznaczeniem dla poglądów Spencerowskich miejsca wśród walki tegoczesnej interesów społecznych.

Lud. Krz.

*) Nie możemy nie zwrócić uwagi czytelnika na zasadnicze podobieństwo w zapatrywaniach genialnego obłąkańca myśliciela, Fouriera, a Spencerowskich na przyszłość rodu ludzkiego, zwłaszcza co się tyczy stanowiska jednostki, solidarności pojedynczych osobników, charakteru kooperacyi itd.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Kleczkowski: *Z wrażeń karnawałowych obrazki i ramki.* Warszawa, 1889.

Czego pan Wincenty jeździł do Zielongrodu i z czem powrócił. Kartka z podróży. Wydał W... Kijów, 1889.

Słonecznym nazywa p. Kleczkowski ten świat tworów sztuki rzeźbiarskiej i architektonicznej, w którym starożytni zaklęli swe myśli zwięzłe i nierozpraszające się, swe uczucia, odnajdujące dla siebie wyrazy pełne i jędrne, swe wierzenia dość jasne i usłonecznione dla uzmysłowienia ich w formach cielesnych, zakończonych, nagich, pozbawionych szczelin wszelkich i miejsc otwartych, któreby barwnemi szmatkami fantazyi załatać było można. Świat *księżycowy* zaludniają mgłą romantyzmu otulone twory malarstwa średniowiecznego i nazwą gotyku objęte dzieła architektury. W nich dla oczów naszych zakrzepła myśl, która zgwałciła spokój i zastygłość form klasycznych, porzuciła szlaki utarte i rozproszyła się w mglistej przestrzeni, poszukując prawdy, której klasycyzm nie ujarzmił, i która po rozbiciu foremek jego stała się znów nieuchwytną i zawieszoną w jakiejś dali nieskończonej; w nich zakrzepły uczucia pogmatwane, wezbrane, daremnie usiłujące przelać się w koryto równowagi i spokoju; w nich — zakrzepły wierzenia rozstrzelone, wybiegłe za kres uzmysłowienia.

Nie można się spierać o to, który z tych dwóch światów jest wyższy i który lepszy, gdyż obydwa przed nami, klęczącymi u stóp przeszłości, wyrastają tak olbrzymio, że karle głowy nasze oczów na ich szczyty zarzucić nie mogą. Lecz o obydwóch powiedzieć możemy, że są one lepsze i wyższe od tego światka nędznego, w którym tułają się widma płytkich myśli, zwyrodniałych uczuć i w lichych zlepkach ulęgających się wierzeń naszego wieku. Czasami z niezmierną tęsknotą spogląda się na te wspaniałe oblicza, które z pod uchylonej zasłony wieków wyzierają ku nam, okryte majestatem jakiegoś marmurowego spokoju, powagi grobu zastygłego i milczącego, a tak przecież wymownie przemawiającego do karłów, którzy się na nim rozsiedli, o spełnionym obowiązku dziejowym. Tylko niedołężny umysł i świętokradzka ręka kusić by się mogły o ulepienie masek pośmiertnych z tych oblicz przeszłości po to, by je ożywić tchnieniem różnem od tego, które przeszłość już rozwiała i którego echa tylko pochwytujemy, ożywić tchnieniem duszącem, w którem gasną nasze myśli i uczucia. Czekać tylko możemy, by czyjś oddech potężny i czysty rozproszył ciężkie opary, które nad duchem naszym nawisły — wtedy może z głębin jego wyłonią się nowe formy, piękne i wielkie, dla myśli czystszej i głębszej — i uczuć — mniej lichych.

Zbyt już daleko wybiegłem za ten łańcuszek skojarzonych myśli, który p. Kleczkowski w swem dziełku ciągnie po granicznym szlaku sztuki starożytnej i średniowiecznej, zdążając do celu swego tj. do pokazania nam różnicy między „ramką zbierającą“ i „ramką rozpraszającą“ czyli — mówiąc wciąż jego słowami, lecz bardziej zrozumiałemi dla tych, którzy dziełka jego nie czytali—między zjawiskiem piękna *plastycznem* i *romantycznem*, między stylem *klasycznym* i *romantycznym.*

Dlaczego dziełko p. K. nosi taki lichy tytuł? Ma on być chyba przynętą dla pań rozbawionych. Wreszcie i sama książka, pozornie przynajmniej, do tego tylko celu zdąża, by oświetlić zdrój uciech karnawałowych promieniem estetyki i nauczyć tych, którzy spijają kielichy w zdroju tym napełnione, jak pić mają, chcąc napoić zmysły największą sumą estetycznych rozkoszy. Niejedna więc z pań, tęsknie użalających się, że ubiegły karnawał niedość ją ubawił, i nieświadoma przyczyn gorzkiego zawodu, jaki ją spotkał, otrzyma od p. K. nieomylną receptę na przyprawę, która, w przyszłym karnawale użyć się dając, znakomicie podniesie smak zabawy i przyjemniejszym go uczyni. Taką tendencyę książki tylko ktoś z wyrzutków karnawałowych mógłby uważać za mniej pożyteczną od tej, jaka natchnęła autora *Sekretów zachowania wdzięków młodości* lub jemu podobnych.

Moim zdaniem — p. K. dość niesłusznie obleka książeczkę swoją w szaty karnawałowe i rywalizuje z owymi zapoznanymi w pożytku dzieł swych pisarzami, gdyż jego (t. j. p. Kleczkowskiego), bogate zasoby obserwacyi, poczerpnięte w sferze wrażeń estetycznych, gwałtem niemal domagają się rozlania po szerszych szlakach, na które niema żadnej potrzeby gramolić się po szczeblach karnawałowej zabawy. Jak dziko a smutnie wyglądają piękne zestawienia światów księżycowych i słonecznych w ramkach balowej sali i przy dźwiękach tanecznej zabawy! Znajduję tu wprawdzie cień usprawiedliwienia i pomijać go nie chcę. Oto — dla wyprowadzenia poważnych i głębszych poglądów na sztukę i zawieszenia ich u idealnych form, jakie w dobie ubiegłej dla rzeźby, architektury i malarstwa odnajdujemy, dla uporządkowania chaosu w odbieranych przez nas wrażeniach estetycznych, dla uświadomienia jednych, a oświetlenia innych logiką pewnych niezmiennych związków, jakie je łączą — dla tych celów pożytecznych i poważnych, p. K. mógł szukać faktów i spostrzeżeń, łatwych do stwierdzenia w sferze zabaw, która istotnie obfitować może we wrażenia dla oczów naszych miłe. Dalej zaś, p. K. wiedział dla kogo pisze. Książki jego, traktującej o rzeczach ciekawych i umiejętnie je oświetlającej, nikt by nie czytał, gdyby nie zalecały jej wyglądające z niej szmatki wstążek i strzępki kostyumów, gdyby nie ulatywała z niej woń perfumowa i nie dobywały się echa tanecznych skoków.

Nic karnawałowego, ani w tytule, ani w treści, nie zawiera druga malutka książeczka, którą trzymam w ręku, więc nikt jej pewnie czytać nie będzie. Żal mi tej prostej bardzo i skromnej wiązanki słówek, niekiedy rubasznych, zawsze szczerych i zawsze myśl uczciwą pochwycić usiłujących. Tytułowa szata, przytoczona w nagłówku, obleka satyrę, którą jakaś ręka w szlacheckiej rękawiczce ćwiczy swoich współbraci.

Lichą rózgą jest satyra, jeśli nią nie włada dłoń wielkim talentem kierowana, więc i te razy nie zostawią najmniejszego śladu na słoniowej skórze, z wad, narowów, uprzedzeń i ciasnych ideałów uszytej i grzbiety ziemian uszlachconych osłaniającej. Ale intencyę dobrą tej chłosty zaznaczyć trzeba. Intencya ta jest źródłem, wypływającem ze szczeliny w opoce kryształowo czystej i świętej, a spajającej najdroższe głazy: miłość dla kraju, rozumienie ceny, za jaką ziemia w ręku szlacheckim pozostała i misyi strzeżenia jej, ochraniania i ukochania.

Szlachcic jakiś „zbrzydziwszy sobie wieś i zajęcia swoje,“ jechał do miasta w chęci sprzedania majątku. W drodze spotkał drugiego, który w jego ciasnej głowie rozbudził świadomość posiadania owych ceunych głazów. Szlachcic wrócił do domu i ziemi nie sprzedał. Oto treść podróży pana Wincentego. Jest w niej nieco humoru rubasznego, szczypta satyrycznego zuchwalstwa i złota, choć niedbale ułożona, wiązanka myśli, świecących, jak słońce. Pomijając pryszczyki wad, pozdzierane ze zestarzałego ciała szlacheckiego, przyjrzyjmy się tym brylantom, które autor w te miejsca oprawia. Powiada on, że zalecana szlachcie oszczędność przyjmuje się na tym jałowym gruncie, ale „kosztem rozwoju sobkostwa.“ „Widzę przeważnie jedno — szalony rozrost egoizmu. Zażera on przerażająco obywatelskie poczucie, obywatelskie cnoty... zaczynamy być szarlatanami.“ Niezmiernej doniosłości jest ta uwaga. Szlachcie wyrzucają trwonienie grosza, rozrzutność, ideały zmysłowego a niepohamowanego użycia, zalecają natomiast oszczędność, pracę w kierunku podniesienia i utrwalenia dobrobytu materyalnego. I cóż się dzieje? Z owej oszczędności i pracy układają się wschodki, prowadzące do tych samych ideałów, wschodki tak ciasne, że nie oprze się na nich noga bliźniego, a usta zgłodniałe nie znajdą na nich kęsa chleba. Głośne hasła reform ekonomicznych zagłuszają hasła moralne, ciche wołanie ducha ludzkiego, upominającego się o prawa miłości. „Dlaczego nie mówimy solidarność, współczucie, obowiązek, a tylko dobrobyt i dobrobyt? Bo stara chęć używania, bo zniżka moralna i egoizm tradycyjny mówi przez nas“—powiada ów zdumiewający szlachcic. A dalej: „Brak moralnej odwagi, szczerego słowa, próżność, sobkostwo, mizantropia i, to co nazwałbym jakiemś shałastaniem moralnem— oto co mi się rzuca w oczy.“ Szlachcic ten wart jest byśmy go w kolekcyi rzadkich tworów przyrody oglądali, bo czyż był kiedy człowiek na tym samym gruncie wyrosły, któryby ze wzruszeniem czytał słowa Kanta: „dwie rzeczy napełniają mnie otuchą — niebo gwiaździste nade mną i prawo moralne we mnie,“ a potem mógł dodać od siebie: „Z tęsknicy, za wcieleniem w życie prawa tego, morze łez ludzkich się wylało i wylewa dotąd.“ Bóg z tobą, dobry szlachcicu! ale chybaś ty jest tworem fantazyi, snującej się po ciepłych i jasnych szlakach, marzeniem, zrodzonem w ogrzewającem tchnieniu zimowego kominka. Gdzież ci, którzy posłuchają słów twoich, gdy nakłaniać ich będziesz by z drogi sobkostwa lub rozrzutności powrócili do zacisznych siedzib swoich i nauczyli się kochać i uczynnymi być dla sąsiadów swoich!

Szlachcic widocznie bałamuci, muszę mu więc uczynić uwagę, która jemu będzie niemiła, a dla mnie tem samem przykra. Oto powiada on w przedmowie do czytelnika, że wydaje rękopis swego przyjaciela bez przeróbek, któreby tylko szkodę pracy tej przyniosły. Co do mnie, utrzymuję, że nietyle przeróbki, ile— konieczną była dla rękopisu tego kilkakrotna kąpiel w czystem źródle ojczystego języka i wytarcie ręcznikiem gramatyki. Czy wszyscy polacy na

kresach posiłkują się takim obrzydliwym żargonem? Wszak autor sam wyśmiewa jakąś osobę, którą spotkał w wagonie, a która niemiłosiernie kaleczyła język polski. A cóż znaczą te własne jego wyrażenia: *dostanie zwichnięcia mózgu*; „stara *pomieszała się* ostatecznie na punkcie...; „służyć *ekonomem*;“ skąd przypuszczenie, że w mowie polskiej chłopa zwie się „mniejszym bratem“? Jak bydło może „podechnąć“? Dlaczego pisać „usypjając“ lub „hrabja,“ zamiast usypiając i hrabia, itd. itd.

F. G. Brodowski.

Z NIEMIEC.

27 kwietnia.

Poemata epiczno-liryczne: „Der neue Merlin“ Paulusa, „Gestalten und Leidenschaften“ Hermana Friedrichsa, „Verzaubert“ Maryi Janitschek. — Nowa powieść Francosa „Die Schatten.“ — Jubileusz Fryderyka Bodenstedta i jego pamiętniki.

Oryginalnym nawskróś jest poemat, który Edward Paulus ogłasza pod tytułem „Nowy Merlin.“ Jeżeli oryginalnym nazwać już można pomysł, że akcya poematu tego odgrywa się w dwudziestem stuleciu; że w „Nowym Merlinie“ nie widzimy ani śladu pięknego lasu w Bercelcande, powabnej Wiwiany, ani owego wieszcza-czarnoksiężnika, toć już najdziwniejszą wyda się okoliczność, że w utworze tym, który w gruncie rzeczy jest patryotyczno-niemieckim, nie znajdujemy apoteozy zjednoczonych Niemiec, ale owszem surową ich krytykę, a znajdujemy natomiast wskazówkę, że zbawienia oczekiwać należy—od Wschodu. Poemat rozpoczyna się około roku 29—30; od lat trzydziestu Merlin samotnie żył w lasach. Wówczas zapragnął ujrzeć Niemcy, które opuścił krajem kwitnącym. Widzi je spustoszone wojną domową. W rodzinnem swem mieście znajduje idealnego młodzianą „Jungheinrich,“ z którym wiąże go miłość wzajemna. Z nim wspomina rozwój Niemiec w drugiej połowie XIX stulecia, z nim też przypatruje się upadkowi ojczyzny: podkopane posady państwa, nauka zaniedbana, sztuka na bezdrożach. Wszędzie panuje nierząd i bezradność. Wtem nadchodzi wieść, że na Wschodzie powstał reformator wielki, łamiący okowy ludów i budujący nowe państwo i wiarę nową; do niego wysyła Merlin wychowanka swego. Za powrotem Jungheinrich opowiada mu o owych ludach, wyznających nową wiarę. Jungheinrich słuchał tam reformatora, wzywającego je do rozpoczęcia nowego życia. Wreszcie zbliża się dzień wielkiej walki ludów; zwycięztwo odnosi wódz wspaniały na białym rumaku, prowadzący zbuntowanych niemców. Niezbyt jasnym jest ten poemat wieszczy, którego piękności poetyckie zmuszają krytykę do poważnego zajęcia się nim. Przyznając, iż Niemcy obecnie upadają, zastrzega się ona przeciwko zbawicielowi, który wyjść ma z ludów słowiańskich.

Tęsknota za reformą wielką, któraby zmieniła zasadniczo formy kultury dzisiejszej, przebija się też w utworach znanego realistycznego poety Hermana Friedrichsa. W nowej książce jego, ogłoszonej pod tytułem „Postacie i namiętności,“ znajdujemy cztery prace większe, szereg wierszy lirycznych, wreszcie poezye włoskie. W większych utworach zajmuje się Friedrichs zagadnieniami społecznemi i stosunkami płciowemi, za których swobodę walczy. W „Walce Don Paola“ zwraca się przeciwko celibatowi; „Agatina Gori“ jest apoteozą wolnej miłości, która, uświęcając samą siebie, gardzi sankcyą kościoła. „Wybór serca“ i „Zemsta Don Franceska“ są obrazami nowoczesnego pożycia małżeńskiego. Związki oparte nie na miłości, jeno na czczych względach zewnętrznych, rozrywa namiętność wiodąca do zbrodni; złoto, które miało zabezpieczyć spokój i świetność życia, rodzi zepsucie i powoduje zgubę. W trzech utworach, osnutych na tle sycylijskiem, Friedrichs objawia talent niepospolity, tworząc postacie żywe, naturalne nawet wśród napięcia psychicznego. Wierne odbicie atmosfery sycylijskiej dodaje utworom tym wdzięku. „Wybór serca“ nie dosięga wyżyny tej pod względem estetycznym, a i etyczna podstawa noweli nie wszystkich przyjaciół emancypacyi społecznej zadowolić może. Zauważyć jednak należy, że z tendencyą utworów pozostaje w sprzeczności przedmowa, w której Friedrichs wypowiada, że jako „człowiek“ (w przeciwstawieniu do „autora“) nie byłby zwolennikiem wolnej miłości, która wśród stosunków obecnych raczej szkodliwą, niż pożyteczną by być mogła. Mimo to uważa się za apostoła nowej etyki; w niektórych wierszach i w „Epilogu autora,“ dodanym do noweli „Zemsta Don Franceska,“ okazuje się dotknięty tym samym dziwnym obłędem wielkości, któremu podlegają wszyscy niemal młodzi realiści niemieccy, a na ich czele Bleibtreu, autor powieści „Grössenwahn.“ W „Przekonaniu“ twierdzi Friedrichs: „Pieśń moja brzmieć jeszcze będzie, kiedy dawno pogruchotane będą kłamliwe lutnie wasze, kiedy bluźnierskie języki wasze zamilkną; przyszłość wypisze ją na sztandarze prawdziwej moralności, którą dziś daremnie głoszę; ujrzycie ją kiedyś na strażnicy najwyższej godności ludzkiej, na sztandarze szczęścia powszechnego.“ W epilogu rzeczonym Friedrichs zestawia naprzód „wielkiego filozofa nazarejskiego“ z Hussem i Lutrem, potem Herwegha z Freiligrathem i Kinklem; następnie zaś mówi o sobie. Dodaje wprawdzie skromnie, że z żadnym z nich mierzyć się nie może, ale dalsze wywody pouczają nas, że słowa te są tylko frazesem i że Friedrichs, w rozumowaniu własnem, stoi na równi, jeśli nie z ową trójcą reformatorów, to z trójcą poetów. Skoro się uwzględni, że autor tych udatnych, lecz bynajmniej niegenialnych utworów zbliża się do czterdziestki, zrozumiemy patologiczność owego wybujałego samochwalstwa, wspólnego całej szkole realistów.

Ten pierwiastek podmiotowy, rozlany w utworach autorów niemieckich, dotyka tak niemile, że nie bez pewnej sympatyi bierze się obecnie do rąk prace osławionych „blaustrumpfów,“ autorek, które dobijają się dopiero stanowiska, w literaturze bez owej rażącej nieskromności w przedmowach i epilogach. Zdumiewającą istotnie jest dziś ilość niemek piszących z talentem. Nowy utwór Maryi Janitschek „Zaczarowana“ okazuje całą delikatność i wstydliwość kobiety, traktującej temat trudny. Bohaterka powzięła głęboką namiętność do astronoma Stiwy, przyjaciela i gościa, który zamieszkuje wieżyczkę w willi młodego stadła. Po długich walkach, opisywanych i ognistych pieśniach lirycznych, zdradza „zaczarowana“ uczucie swe Stiwie, prosząc go, by nie odjeżdżał. Wyborne opisanym jest stosunek obojga po owej scenie; unikając swych oczu, przechodzą obok siebie niemi, jakby obcy. Akcya przybiera cechy dramatyczne, kiedy małżonek niewiernej, wiodąc ją na ławkę kamienną, pamiętną dla nich, rzewnem wspomnieniem zdobyć sobie pragnie utracone serce żony. Atoli uczucia te nie mają już mocy nad rozognionymi zmysłami kobiety, którą namiętność przyciąga do Stiwy. Pewnej nocy, parta przez demonów niezaspokojonej miłości, zbliża się do jego drzwi; jednak coś nieuchwytnego, cichego, świętego, coś, co owa nieszczęsna nazywa „łaską,“ uspakaja zmysły jej i każe cofnąć rękę z klamki. Zwyciężyła, lecz nie zmniejszyła niebezpieczeństwa; bo oto Stiwa, rozdrażniony biernością kochającej go kobiety, sam ulega jej czarowi i roznamiętniony burzy jej spokój. Czując, że siły jej upadają, „zaczarowaną“ postanawia uciec przed pokusą; nie zdradziwszy męża, opuszcza do jego, pozostawiając zwaśnionym przyjaciołom w spuściznie zgodę i miłość wierną. Zakończenie Ibsenowskie—a jednak jaka różnica w przeprowadzeniu motywu, któryby w śmiałych, bezwzględnych rękach mężczyzny niezawodnie posłużył do zilustrowania słabej natury ludzkiej, a z którego ręka poetki wysnuła apoteozę moralności kobiecej, przypominającej „Pawła i Wirginię.“ Jestże to kontrast z owym realizmem, dla którego bohaterka zaczyna się dopiero od wiarołomnej — co tę sielankę moralności czyni ujmującą dla czytelnika nowoczesnego?

Porównajmy z tą „zaczarowaną“ najnowszą powieść Francosa „Cienie,“ a znajdziemy się niejako wobec wytworów dwóch odrębnych światów psychicznych i moralnych. Tu opowieść prosta i naturalna, przedstawiająca walkę obowiązku ze zmysłami, uświetniająca etykę chrześciańską; tam utwór o kunsztownej kompozycyi, odbijający etykę samowolnego egoizmu. Mimo iż autor szkiców z Pół-Azyi nigdy sympatycznym dla nas stać się nie może, z obowiązku kronikarza literackiego pomówić musimy o nowym jego utworze, który zdaje się być owocem pracy dłuższej, sumiennej i bądź co bądź, wznosi się ponad poziom codziennej produkcyi beletrystycznej. „Cieniami“ zowie Francos wspomnienia i skutki skalanej przeszłości, które odbijając się na życiu późniejszem, udaremniają pokutę po niewczasie próbowaną. Skoro już ten motyw główny zbliża powieść Francosa do starożytnej tragedyi, opartej na fatum, wypływającem z dawnej jakiejś winy, to tem bardziej kompozycya utworu zmierza do Arystotelesowskiego ideału dramatycznego; w „Cieniach“ autor przestrzega ściśle starożytnej trojakiej jedności. Rzecz jasna, że wprowadzenie tego dramatycznego rusztowania spowodowało pewne niezwykłe zmiany w używanej powszechnie technice powieściopisarskiej, co dzieło Francosa czyni zajmującem niemniej dla autorów, jak dla publiczności. Romans nie skupia akcyi w chwili kulminacyjnej, lecz wysnuwa ją zwolna; dlatego autor rozpoczął zmiany od tytułu, nazywając „Cienie“ nie romansem, lecz opowiadaniem. Podobnie Daudeta „Fromont jeune et Risler ainé“ zwie się nie powieścią, lecz „moeurs parisiennes.“ Przypominają tę pracę „Cienie“ wielce kompozycyą. Tu i tam autor zmuszony był przerwać opis zdarzeń bieżących przedstawieniem ważnej i skomplikowanej przeszłości; jeno że Daudet wplata w ten sposób tylko przeszłość bohaterki, podczas gdy Francos opowiada nam dzieje bohatera, hrabiego Dietricha Thernsteina, żony jego Zofii, a nadto historyę drugiej pary, barona Fryderyka i Agnieszki. Są to bezsprzecznie błędy techniczne; atoli zręczność autora gładzi je jako tako. Hrabia Thernstein opowiada dzieje swe staremu służącemu, podczas gdy Zofia przypomina sobie przeszłość swą w chwili niepokoju, wobec grożących zdarzeń tragicznych. Jest to metoda, bądź co bądź, bardziej artystyczna, aniżeli wsunięcie rozdziałów poświęconych przeszłości, niepołączonych organicznie z opowieścią główną. A jednak na tej drodze, artystycznie obmyślanej, opuszcza Francos ów wyższy takt artystyczny, który trudności techniczne dla czytelnika maskuje: autor przekracza miarę, opowiada szeroko, przytacza rozmowy i w ten sposób budzi w czytelniku świadomość nieprawdopodobieństwa i sztuczności tej kompozycyi. Akcyę i charaktery wziął z życia; poznał je podczas długoletniego pobytu w Wiedniu, przypatrując się arystokracyi austryackiej. W rysunku postaci objawia talent niezwykły. Hrabia Thernstein, to wyborne nakreślony Don Juan nowoczesny, przypominający wielce Casanowę. „Czyń, co ci sprawia przyjemność, ale ponoś skutki“ — oto moja dewiza, mówi Thernstein. „Być sobą,

oto jedyny obowiązek; spełnić wolę swą, oto jedyne szczęście na ziemi.“ Mniej starannie wycieniowane, a jednak uchwytne i jasne są charaktery Zofii, hrabiny Clarissy i hrabianki Heleny. W każdym razie jest to utwór głębiej obmyślany, w którym Francos zużytkował obserwacyę długiego szeregu lat.

22 b. m. obchodził Fryderyk Bodenstedt siedemdziesiątą rocznicę swych urodzin. Słynny autor pieśni „Mirzy Szaffego“ przygotował dla wielbicieli i przyjaciół niespodziankę, ogłaszając pierwszy tom swych pamiętników. Bodenstedta cenią w Niemczech głównie jako najzdolniejszego epigona Herdera i Goethego, wykonywającego program literatury światowej, o jakiej marzyli ci poeci. Wystąpił też jako dramaturg („Demetrius,“ „Kaiser Paul“), jako epik („Ada die Lesghierin“) wreszcie jako tłomacz, i pod tym względem stoi na równi z Rückertem. Zwłaszcza cenione są jego przekłady dzieł Shakespeare'a; atoli tłomaczenia Puszkina i Lermontowa, ukraińskich poezyj ludowych, wreszcie Hafiza i Omara Chajjama ją wzorowemi.

Pamiętniki Bodenstedta zawierają cenne materyały nietylko dla historyka literatury ale i dla etnologa i historyka kultury. Nie należy on do owych poetów niemieckich, którzy żyli i wsławili się w małej mieścinie. Zwiedzał dalekie kraje, długie lata żył wśród ludów słowiańskich i wschodnich, przyswoił sobie ich język, poznał ich poezye, ich charakter i zwyczaje, a spostrzeżenia swe opowiada w sposób żywy i zajmujący. Urodzony w Peine, studyował w Berlinie i Monachium, poczem w r. 1841 wyjechał do Rosyi jako guwerner księcia Golicyna. W r. 1844 zaproszony przez namiestnika Tyflisu, zwiedza ten kraj, osiedla się w nim jako dyrektor instytutu wychowawczego. Niebawem poznaje Armenię i Gruzyę, na Kaukazie poznaje też Mirzę Szaffego, który został jego nauczycielem. Nadmienić tu należy, że stosunek znanego zbioru Bodenstedta do utworów prawdziwego Mirzy Szaffego do dziś dnia nie jest wyjaśnionym; samoistne poezye wschodnie Bodenstedta („Aus Morgenland und Abendland“) nie stoją na wyżynie tego zbiorku. Zajmującemi są rozdziały „Wspomnienia i pierwsze wrażenia ruskie,“ „Ze Stawropolu do Tyflisu,“ „Obrazki kulturalne z Kaukazu.“ Dłuższy ustęp poświęca Bodenstedt wyjaśnieniu losu Puszkina na podstawie dokumentów, będących w jego posiadaniu; zajmującą i bezstronną jest charakterystyka Katkowa, z którym Bodenstedt stykał się w domu ks. Golicyna. W r. 1846 wrócił do Niemiec i tu rozpoczyna się drugi okres życia jego; drugi tom pamiętników opowie dzieje profesury Bodenstedta w Monachium, stosunku jego do króla Maksa, intendentury w Meiningen, i lat ostatnich.

Na zakończenie wiadomość bez komentarza. W berlińskiem „Deutsches Theater“ z ogromnem powodzeniem wystawiono Ibsena „Podpory społeczeństwa,“ a najbliższą premierą Residenztheatru będzie jego „Związek młodzieży.“

Ladawa.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 29 kwietnia.

Jubileuszowa parodya konwentu i trybunał najwyższy, jako wstęp. — Nowości teatralne i literackie.— Wiktoryna Sardou *Markiza* i *Belle-Maman*. — Goncourtów *Patrie en danger*. — *Révoltée* Lemaitre'a. — *Mensonges* na scenie. — Sara Bernhardt i *Lena*. — Guy de Maupassanta *La main gauche*. — Bourgeta *Pastels*. — Lemaitre'a czwarta serya *Les Contemporaines*.

Nie będę się rozwodził nad bieżącymi wypadkami politycznymi we Francyi. Jest to jubileuszowa parodya konwentu, w którym rolę jakobinów odgrywają oportuniści na swój własny benefis i na sławę obecnej Rzeczypospolitej. Senat wystąpił nawet w roli najwyższego trybunału i sądzi zaocznie, oskarżonych o zdradę stanu: Boulangera, przyjaciela jego hr. Dillona i nieprzejednanego zawsze warchoła, Rocheforta. Zbrodniarze zresztą przebywają bezpiecznie w Anglii, proces więc nie budzi zbyt wielkiego interesu i pociągnie się długo. Niewątpliwie zresztą przekroczenie granicy belgijskiej przez generała i jego sztab jest klęską dla „partyi narodowej“ i jej planów. Francya podzieliła się dziś na dwa wielkie obozy: republikanów *sans phrase*, władających siłą pięści i bulanżystów różnych odcieni. Ten ostatni obóz zróżniczkował się dziś jeszcze bardziej. Co z tego starcia wyniknie zobaczymy dopiero w jesieni po wyborach do Izby, która tymczasem zawiesiła na kołku swe roboty prawodawcze. Wchodzimy obecnie w wiosenny i letni okres wystawy i jubileuszu. Inne zagadnienia i sprawy spadły na czas jakiś z porządku dziennego.

Nim zresztą bębny i fanfary ogłoszą światu otwarcie wystawy i rozpoczęcie się republikańskiego święta możemy rozejrzeć się nieco w plonie literackim, jaki nam tu zwykle każda wiosna przynosi.

Parę słów naprzód o nowościach teatralnych. A mamy tu do zanotowania, na pierwszem oczywiście miejscu, jakie należy się rozgłosowi — *honny soit qui mal y pense!*— aż dwie sztuki Wiktoryna Sardou: *Markizę*, komedyę z zakrojem naturalistycznym a właściwie pornograficznym, która przyjętą została nieszczególnie i sławy autorowi nie przysporzy oraz *Belle-Maman* (Teściowa), wesoły wodewil, powitany oklaskami. *Théâtre libre* wystawił wielki dramat Goncourtów, napisany przed laty dwudziestu, p. t. *La Patrie en danger*, rzecz o zakroju szerokim; sztuka zresztą pojawiła się efemerycznie na scenie, rodzajem próby, jak wszystkie utwory sceniczne, wystawiane na deskach „Wolnego teatru.“ Znany krytyk literacki i teatralny Juliusz Lemaitre wystawia obecnie w Odeonie komedyi p. t. *Revoltée*. Bohaterką jest, jak zwykle tu, młoda mężatka, buntująca się przeciwko przymusowej opiece mężowskiej i spóźnionej matczynej. Sztuka posiada kilka scen bardzo dobrze napisanych, odczutych i zobrazowanych żywo, całość jednak mocno szwankuje. Wyborny krytyk, ulegający zresztą w swych sądach zmiennym wrażeniom i hołdujący eklektyzmowi, okazał się nader słabym dramaturgiem, gdy szło o konsekwentne i stanowcze przeprowadzenie *akcyi* na scenie. Zaznaczyć jeszcze wypada wprowadzenie na deski teatralne komedyi *Mensonges*, przerobionej z wybornej powieści Bourgeta pod tymże tytułem; komedya jednak okazała się o wiele niższą, pomimo zmian i przeróbek.

Na urodzajniejszej niwie powieściowej notuję naprzód nowy tom nowel Guy de Maupassanta p. t. *La main gauche*. Powinienbym może naprzód zaznaczyć powodzenie, jakiem się cieszy powieść sielankowa p. t. *Marie Fougère*, napisana pod pseudonimem Łucyi Herpin, przez znanego autora wiejskich sielanek, Glouveta, który to pseudonim kryje p. Quesnay de Beaurepaire, obecnie głównego prokuratora w procesie o zdradę stanu. Tej to właśnie okoliczności powieść zawdzięcza obecnie mnożenie się jej wydań. Początkowo zyskała ona pewien rozgłos, co w swoim czasie zanotowałem, z powodu długiej przedmowy, w której sielankowy prokurator zaatakował naturalizm. Zaprawiwszy się na nim, wziął się z kolei do bulanżyzmu... Czyżby ten ostatni był także naturalistycznym?!

Paweł Bourget rzucił obecnie na targowisko księgarskie tom nowel i obrazków p. t. „*Pastels*, dziesięć portretów kobiecych.“ W zbiorku tym, odznaczającym się zwykłemi głośnemu już dziś autorowi zaletami drobiazgowej i delikatnej analizy psychologicznej, na wyróżnienie zasługują trzy nader wdzięczne obrazki z życia dziecięcego: *Simone*, *Lucie* i *Aline*. Niebawem też wyjdzie *Fizyologia miłości* tegoż autora, oraz większa powieść p. t. *Cosmopolis*, a nawet zbiorek poezyj p. t. *Les nostalgiques*. Bourget jest jednym z tych rzadkich francuzów (szczególniej między pisarzami obecnego pokolenia), którzy podróżują, w wędrówkach tych więc widocznie miewał napady nostalgii, nawiedzającej nierównie częściej robotników pióra i innych narodowości.

Juliusz Lemaitre, prócz ogłoszonej niedawno trzeciej seryi swych *Impressions de théatre*, wydał obecnie czwartą seryę *Les contemporains*, dzieło, które zjednało autorowi laury i nagrody Akademii. Tom ten zawiera nietylko „spółczesnych.“ Spotykamy się w nim ze Stendhalem (z powodu wydanego niedawno pamiętnika), Meriméem, Wiktorem Hugo... Powraca tu znowu Lemaitre do Zoli i Daudeta i daje nam wyczerpujące studyum o najwybitniejszym poecie ze szkoły dekadentów, Pawle Verlaine'ie. Poeta ten, znany w kwartale łacińskim z praktycznego dekadentyzmu, łączy pisarskie właściwości tej szkoły, stojącej na rozdrożu między naturalizmem a czemś jeszcze nieznanem — z gorącym katolicyzmem. Krytyk nie znalazł nawet u średniowiecznych poetów równie żywej wiary, wyrażonej w formie mistrzowskiej... Lemaitre przygotowuje także zbiór *Contes* i nową zapewne jaką komedyę.

E. P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pismo dla młodzieży. — Czy potrzebne. — Żywioł zróżniczkowany.—Nie stronnictwo a stronnictwo. — Sprawozdanie Kasy Mianowskiego. — Zbytki dobroczynne.— Dochód z pożaru. — Inicyatywa. — Tanie książki. — Farsa z Raulkiem. — Kto winien. — Piłaci umywający ręce. — Dalszy ciąg oszczędności kolei Nadwiślańskiej. — Wybieg skąpca.

W Krakowie—jak nam donosi korespondent— zaczęło wychodzić nowe pismo, które ma być „organem uczącej się młodzieży polskiej.“ Wyznaję, że ani pobudek redakcyi, ani jej celu nie rozumiem. Ucząca się młodzież bowiem — w tym wypadku akademicka — nie jest żadnym stanem, klasą społeczną lub żywiołem jednolitym. Istnieje osobna literatura dla dzieci, ale między 5 a 10 rokiem życia rozwój umysłowy jest jeszcze tak słaby, tak niezróżniczkowany, że jednorodność duchową przyjąć można. Przy końcu zaś drugiego i na początku trzeciego dziesiątka lat wieku człowieka zróżniczkowanie to już dojrzewa. Śród młodzieży uniwersyteckiej widzimy arystokratów, demokratów, konserwatystów, postępowców, uczonych, nieuków, bohaterów, karyerowiczów— i całą tę długą skalę, która obejmuje ród ludzki. Tak było, jest i będzie po wsze czasy, a kto nie chce hodować niebieskich migdałów, powinien się z tą rzeczywistością pogodzić. Tymczasem redakcya tym faktem smuci się, wzywa „*całą uczciwszą* młodzież“ pod swój sztandar a „niejednolitość“ w tej z najrozmaitszych pierwiastków złożonej mieszaninie nazywa „złowróżbną“ i pragnie, ażeby jej wydawnictwo „było organem *całej* młodzieży polskiej.“ Wprawdzie powiada ona, że chce tego zjednoczenia dokonać pod hasłem: „uczmy się,“ które mogłoby istotnie stopić wszelkie różnice, ale zarazem stawia program polityczny, społeczny i naukowy bardzo stanowczy. A więc wyobraźmy sobie

studenta, który programu tego nie podziela i zwraca się do redakcyi z następującem oświadczeniem: Szanowni koledzy, chociaż mam odmienne od waszych przekonania, to jeszcze bynajmniej nie wyłącza mnie ani z młodzieży całej, ani z młodzieży uczciwej, ani polskiej, a pismo wasze organem ani moim, ani moich współwyznawców nie jest. Oświadczeniu temu niepodobna odmówić słuszności. Myli się tedy autor słowa wstępnego, zastrzegając: „żadnem stronnictwem nie jesteśmy," bo dość przeczytać jego „wierzę" o kilkanaście wierszy dalej, ażeby dostrzedz, że mówi on w imieniu stronnictwa. A jeżeli tak jest, to skąd *Ognisko* może być organem „całej młodzieży polskiej" nietylko różnorodnej w Galicyi, ale przedstawiającej niezliczone odmiany w samych warunkach życia? Wszakże to mrowisko jest rozproszone po całej kuli ziemskiej.

Według mnie jak zbytecznem i niemożliwem jest pismo dla wszystkich starców polskich, tak i dla młodzieży akademickiej, która w prasie powszechnej znajdzie dla siebie właściwe organy. Przewiduję tu uwagę: do pewnego stopnia młodzież ta jest pewnym stanem, niezależnie od odcieni i różnic posiada pewne wspólne interesy i potrzeby, bo podlega pewnym odrębnym prawom szkolnym. Nie przeczę, ale jeżeli dla obrony tych interesów i wyrażania tych potrzeb pożądanym jest odrębny organ, to chyba tylko informacyjny i zamknięty w ich kole. Bezwątpienia studenta krakowskiego np. obchodzą bieżące dzieje wszystkich uniwersytetów, może on nieraz zapragnąć odezwania się w sprawie dotyczącej wszystkich jego kolegów, ale po co na ten cel papierowa chorągiew z godłami politycznemi, społecznemi i naukowemi?

Kasa pomocy naukowej imienia Mianowskiego ogłosiła siódme Sprawozdanie, które nam przynosi ten tylko pocieszający fakt, że liczba członków od roku założenia wzrosła o 468 (w r. 1881 było ich 3,831—w przeszłym 4;239) *) a zarazem przybyło kilka legatów. Obecnie Kasa posiada majątku około 140,000 rs. Jak nim zarząd gospodaruje — wielokrotnie mówiliśmy. Część zasobów zużytkowywa istotnie w sposób pożądany, część zaś marnuje na wydawnicze zbytki. Do zbytków tych należą przekłady dzieł starych, które nieliczni u nas specyaliści mogą poznawać w oryginałach lub przekładach obcych. Dyalogi Platona, traktaty Kartezyusza i Kondillaka, *Iliada*, której już kilka tłomaczeń posiadamy, dzieło Celsa — wszystko to są sprawunki dla nas niezrozumiałe, a nieraz bardzo kosztowne. Tak np. 1,207 rs. wydano na *Lecznictwo* Celsa, na książkę, którą może dwu polaków (znających języki obce) poznać pragnie, a dziesięciu z miłosierdzia lub próżności kupi. Rozumiem, że Kasa nie jest instytucyą handlową, ale nie powinna też być o tyle dobroczynną, ażeby dawać tysiące rubli każdemu, kto jakąkolwiek starą książkę przetłomaczy. Byłem jednym z pierwszych apostołów projektu założenia tej instytucyi, należałem do grona opracowującego jej ustawę, więc świadczyć mogę, że jej twórcy ani myśleli o dyalogach Platona, *Iliadzie* Homera lub *Lecznictwie* Celsa. Myśleli oni o „osobach pracujących na polu naukowem"," plonujących dla społeczeństwa.

W roku zeszłym los dopomógł Kasie: w księgarni Wendego, która ma jej wydawnictwa na składzie, wybuchł pożar, który zniszczył pewną ilość książek i dał przeszło z połowy (przez wynagrodzenie asekuracyjne) większe dochody, niż sprzedaż. I tak: *Anatomii* Birck-Hirschfelda sprzedano za rs. 18 k. 40 — spaliło się za 106 k. 55; *Uchansczanów* Wierzbowskiego za rs. 14 k. 40 — spaliło się za 432 k. 38, *Mineralogii* Mohna nie sprzedano ani jednego egzemplarza, spaliło się za 25 k. 60; *Botaniki* Strassburgera sprzedano za rs. 158 k. 40 — spaliło się za 768 k. 50 (szkoda!) — itd. Na nieszczęście od *Iliady* nawet ogień stronił i spożył jej tylko za rs. 15 k. 40. Celsa jeszcze nie było a dla niego bardzo by się przydał.

Na usprawiedliwienie zbytkowych ofiar Kasy słyszymy, że daje ona tym, którzy do niej się zwracają, a sama z inicyatywą wystąpować nie może. Jest to obrona zarówno zbyt formalistyczna, jak nieprawdziwa, bo przekłady starych dyalogów filozoficznych czyli t. z. „Bibliotekę filozoficzną" zawdzięczamy p. Struvemu, który jest członkiem Kasy. Bez niego ani p. Dworzaczek nie przetłomaczyłby Kartezyusza, ani p. Paskal — Spinozy. Jeżeli zaś dla tych prac znalazła się inicyatywa, to mogła się była znaleźć dla innych.

Z drugiej strony zastrzedz winienem, iż lamus ze spolszczoną starzyzną nie zajmuje zbyt wielkiej przestrzeni w katalogu dzieł z pomocą Kasy ogłoszonych. Znajdziemy tu długi szereg prac mających znaczenie tegoczesne a przytem nieraz bardzo tanich. Zwłaszcza po zniżeniu cen pierwotnych w dziale wydawnictw matematycznych i przyrodniczych niektóre książki są dostępne dla każdej kieszeni.

Ponieważ pięcioletni Raulek Koczalski na żadnej niwie naukowej jeszcze nie pracuje, więc o zapomogę zwrócił się do publiczności i w tym celu dał własny koncert. Czytelnicy nasi nic od nas nie wiedzą o tym pieszczochu prasy warszawskiej, więc winniśmy go przedstawić kilkoma słowami objaśnienia. Kiedy na widnokręgu zabłysnął Józio Hoffman, malec, który miał dwie dziwne właściwości: pomimo młodocianego wieku pięknie grał na fortepianie i przez kilka lat wcale nie posuwał się w wieku, zwłaszcza zaś kiedy w Europie i Ameryce zebrał znaczne sumy pieniędzy, zaczęły jak rydze po deszczu wyrastać „cudowne dzieci," a między niemi Raulek Koczalski. Człowieczek ten miał w *Kuryerach* zaabonowaną lożę, w której stale się ukazywał i odciągał uwagę od spraw najważniejszych. Naturalnie jego ojciec czy opiekun doszedł do słusznego wniosku, że jeśli malec zajął już tak wydatne stanowisko, trzeba go narodowi ukazać w publicznym występie. I urządzono Raulkowi koncert. Od tej chwili rozpoczyna się jedna z tych fars, dla których Warszawa jest gruntem klasycznym. W sali zbierają się słuchacze ciekawi dziwu i olimpijsko poważni sprawozdawcy muzyczni. Na estradę wchodzi Raulek, którego sadzają przy fortepianie; obok pięcioletniego artysty zajmuje miejsce starszy towarzysz, który mu naciska pedał, szepcze wskazówki i wogóle pomaga. Raulek zaś gra tak, jak pięcioletnie dziecko małemi rękami trudne utwory grać może: ułatwia sobie lub opuszcza ustępy, którym nie jest w stanie podołać, zaciera motywy, kaleczy, fałszuje, słowem spełnia swoje zadanie „skandalicznie" — według jednych, „barbarzyńsko" — według drugich. Areopagowi sądzącemu włosy stają na głowie, a twarze wyciągają się zdziwieniem. Wreszcie przysięgli ogłaszają w pismach werdykt, w którym dla Raulka przyznają okoliczności łagodzące, a jego opiekunów skazują na napomnienie publiczne. Wyrok ten wydaje mi się zupełnie bezprawnym. Pomijając bowiem dziecko, które zrobiło to, co mu kazano, czy jego kierownik zawinił w tym przedwczesnym popisie? Alboż go nie zachęcano, nie ośmielano do tej próby ciągłemi wzmiankami i artykulikami o „cudownem dziecku"? Mało jest rodziców, którzyby przynajmniej w jednem ze swych dzieci nie widzieli „cudowności" nawet wtedy, gdy ich w tem złudzeniu nikt nie podtrzymuje. Cóż dopiero, kiedy wszystkie pisma codzienne głoszą sławę ich malca, a on w piątym roku dość wprawnie gra na fortepianie! Wyobraźmy sobie, że pisma o Raulku — jak im takt nakazywał — milczały; czy on wystąpiłby publicznie? Bynajmniej. Nie ojciec zatem, nie opiekun, ale prasa wprowadziła niewinne dziecko na estradę i ona jest tylko odpowiedzialną za jego niepowodzenie. Panowie sprawozdawcy też, zamiast karcić jego przewodników, powinni byli rzec krótko i szczerze: w imieniu dzienników naszych uderzamy się w piersi; popełniły one lekkomyślność, obnosząc przez kilka miesięcy dziecko, które cudownem nie jest i grać jeszcze nie może, a zasługuje na lepszą opiekę, niż mu dali zbałamuceni przez prasę jego wychowawcy. Niech Piłaci rąk nie umywają, bo to nic nie pomaga.

Stanowczo do „cudownych" ludzi należą pracownicy kolei Nadwiślańskiej. Ile oni umieją przetrwać pomysłów geniusza „oszczędności," o tem nawet nie mają wyobrażenia woźnice tramwajów wiedeńskich. Jak donosi *Kuryer warsz.*, służba konduktorska daremnie od października oczekuje na kożuchy, a od stycznia na obuwie. Korzystając z nadchodzącej wiosny, zarząd powie prawdopodobnie biedakom tak, jak ów skąpiec, który gotował na kilka dni kartoflankę, przed każdym obiadem nalewał kieliszek wódki i mówił do siebie: jeśli zjesz zupkę, dostaniesz wódeczki. A gdy zjadł, tłomaczył sobie: kiedy już spożyłeś, wódeczkę schowamy. Wbrew przepisom ministeryalnym, na mniejszych stacyach usunięto t. z. „zapasowych" telegrafistów, skutkiem czego żaden z dwu pozostałych „w ciągu roku literalnie ani jednej nocy spać nie może." Nadto nietylko zmniejszono im do połowy koszt umundurowania, ale w roku bieżącym dotąd go nie wydano, pomimo że termin upłynął 19 stycznia. Ale za to kazano maszynistom i konduktorom płacić po 10 kop. kary za każdą minutę przetrzymania pociągu na stacyi. Z tych kar zbierają się zapewne gratyfikacye dla kolejowego... Olimpu.

Wszystko to przestaje już być śmiesznem, niedorzecznem i nieludzkiem — i zaczyna być wstrętnem, dzikiem.

Poseł Prawdy.

*) Przy sposobności winniśmy przeprosić p. Englera z Astrachania, że skutkiem omyłki w wykazie naszej administracyi składka jego nie została w porę wniesiona.

O PRAWDĘ.

Jeszcze wyjaśnienie w sprawie kanalizacyi.

I.

W sprawie kanalizacyi odbieramy ze strony przeciwnej stanowisku zajętemu przez p. Prezydenta wyjaśnienie następujące, które z powodu braku miejsca nieco skracamy bez naruszenia treści wywodu.

„Przedewszystkiem tak zwana kanalizacya zupełna, sprowadzająca wszystkie ścieki i odchody do kanałów, nie istniała w projekcie pierwotnym. P. Prezydent w odezwie swej z r. 1879, wyraźnie powiada, że kanały są potrzebne „do odprowadzenia wód deszczowych i zaskórnych, dla zapobieżenia zalewom i usunięcia wilgoci, wreszcie do odprowadzania wszystkiej zużytej, brudnej wody, pomyj i zlewów." Mówi wprawdzie dalej, że właściciele domów, dla uniknięcia znacznych wydatków na wywózkę nieczystości, niewątpliwie sami zechcą łączyć swe posesye z kanałami; ale jednocześnie dodaje: „że wymiary, jakie wypada dać kanałom, nie są bynajmniej zależne od tego, czy będą lub nie, wpuszczone do nich odchody." Co więcej, urządzenie to było do tego stopnia wątpliwem, że w tejże samej odezwie p. Prezydent dodaje jeszcze: „W żadnym razie kanalizacya Warszawy nie będzie przeszkodą do zaprowadzenia innego sposobu oczyszczania kloak, jeżeliby się tego okazała potrzeba i gdyby były na to odpowiednie środki."

Spuszczanie przeto ekskrementów do kanałów nie było wcale rzeczą z góry przesądzoną

i nie stanowiło głównego zadania kanalizacyi miasta. Specyaliści na to spuszczanie zapatrują się rozmaicie; jedni na zasadzie dewizy hygienicznej *tout à l'egout* chcą do kanałów wprowadzić wszystkie nieczystości ciekłe i stałe; inni — przeznaczają kanalizacyę tylko do usuwania wszelkich wód brudnych i deszczowych, powierzając opróżnianie zawartości kloacznych innym sposobom. Takie miasta jak Berlin, Paryż, Glasgow, Manchester, Rochdale i inne, bynajmniej nie żądają łączenia dołów kloacznych z kanałami, pomimo to, że domy są połączone z siecią kanalizacyjną, dla odpływu nieczystości gospodarskich. Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że są miasta, gdzie spuszczanie ekskrementów nietylko że jest dozwolonem, ale nawet i nakazanem.

Kanalizowanie zatem cząstkowe, nie jest bynajmniej specyficznie warszawskiem. Przemawiają za niem rozmaite względy: hygieniczne, niedowierzające wyziewom kanałowym; ekonomiczne, powstające na marnowanie bardzo skutecznego nawozu; topograficzne, gdy niema wód na odpływ zawartości kanałowych, względy zresztą finansowe, gdy idzie o znaczne nakłady, na które miasta stare a ubogie zdobyć się nie mogą, a państwo z pomocą przyjść nie chce lub nie może.

U nas zwolennicy zasady „wszystko do kanału" stanowią przeważającą większość. Mogą oni nie zwracać uwagi na względy hygieniczne, ekonomiczne lub topograficzne, ale ta większość wie, że oczyszczanie dołu kloacznego jest droższe, niźli połączenie z kanałem. Taniość najlepiej przemawia. A jednak istnieje opór i to silny opór.

Podatek kanalizacyjny nie jest wysoki, ale koszta urządzeń kanalizacyjnych jednorazowe— przechodzą możność przeciętnego właściciela domu. Skanalizowanie nieruchomości leży w interesie właściciela domu, ale przymus, w krótkim czasie nakazujący wprowadzać kosztowne urządzenia kanalizacyjne, może bezpotrzebnie nadwyrężać niekoniecznie znów zbyt świetny stan warszawskich właścicieli domów.

Jeszcze w r. 1887 komitet kanalizacyjny zatwierdził przepisy o łączeniu domów z kanałami. Przy rozprawach odnośnych zwrócono tylko uwagę, że w domach starych, przy dość zawikłanych urządzeniach mieszkań, trudnem będzie po wszystkich piętrach urządzać zlewy i klozety pokojowe—i że wskutek tego tak zwane zupełne skanalizowanie nieruchomości musi uledz pewnemu ograniczeniu, zawrzeć się w pewnem minimum. Lindley podzielił ten pogląd i określił sam taką minimalną kanalizacyę oświadczeniem, że zupełnem skanalizowaniem domu nazywa się wybudowanie ogólnego waterklozetu, ścieku wody deszczowej wprost do kanału i ogólnego ścieku dla pomyj, tak, aby wszystkie nieczystości dostawały się do przykanaliku i nie wchodziły do rynsztoków ulicznych. O klozetach zatem domowych i o zlewach kuchennych nie było wcale mowy, nie wchodziły one w zakres robót koniecznych przy kanalizacyi. O przymusie łączenia się z kanałem nie było także żadnej wzmianki.

Tymczasem w roku następnym zaszły dwie nowe okoliczności.

Od nieruchomości, które chciały się połączyć z kanałami, żądano nie tej minimalnej, określonej przez p. Lindleya kanalizacyi, ale zupełnej, z obowiązkowem zaprowadzeniem zlewów i klozetów mieszkalnych. A te zlewy i klozety stanowią średnio około 50% ogółu kosztów skanalizowania posesyj. Nie dość tego, w domach starych, gdzie są rozmaite rozkłady mieszkań, gdzie niema oddzielnych miejsc, gdzie trzeba psuć ściany, rąbać sufity i podłogi, a przez pokoje jadalne lub sypialne przeprowadzać rury, tam zaprowadzenie owych żądanych zlewów, a szczególnie klozetów, co najmniej podwoiłoby owe 50% kosztów. To była pierwsza okoliczność, właścicieli starych domów (jakich jest w Warszawie dużo) wstrzymująca od kanalizowania nieruchomości i skłaniająca do oporu.

Wkrótce przybyła druga. Za pośrednictwem odpowiedniej władzy polecono ściągnąć od właścicieli domów przy Nowym Świecie deklaracye, że zażądają w bardzo krótkim czasie połączenia swych domów z kanałami i połączenie to przeprowadzą w roku następnym, tj. bieżącym. Ci zaś, którzy połączeń nie dokonają, będą mieli skasowane rynsztoki, odprowadzające ścieki i wodę na ulicę — i rozumie się, wszelkie te ścieki będą musieli wywozić beczkami. Że zaś takich ścieków i brudnej wody oprócz wód atmosferycznych średnia posesya produkuje przynajmniej beczkę na dzień, a wywózka jednej beczki kosztuje najmniej dwa ruble, przeto każda oporna zapłaci rocznie przeszło 700 rs., oprócz kosztów wywózki części wód atmosferycznych, co także da kilkaset rubli. I oto w tem rozporządzeniu znalazł się odrazu przymus — o którym w przepisach żadnej wzmianki nie było. Przymus pośredni, ale bardzo wymowny. Ci, którzy takiej deklaracyi złożyć nie chcieli, zostali zapozwani do sądów pokoju. Ale w sądach sprawy zostały wstrzymane.

Właściciele domów znaleźli się w nie bardzo przyjemnem położeniu. Z jednej strony zamiast mimowolnej kanalizacyi, której po oświadczeniach p. Lindleya, mieli prawo się spodziewać— zażądano od nich zupełnej, zwiększającej koszta od 50 do 100%. Z drugiej strony, zamiast uzyskania jakiegoś terminu dłuższego do przeprowadzenia robót w ciągu 2 do 10 lat, jak to się praktykuje za granicą— wytoczono im procesy i kazano w bardzo krótkim czasie urządzenie, wymagające znacznego nakładu pieniężnego, przeprowadzić—pod grozą ogromnej kary w formie beczek wywożących wody brudne i gospodarskie nałożonej. Pokazało się z tego, że na żadne uwzględnienia, wynikające z konstrukcyi domów starych, i na żadne uwzględnienia co do terminu wykonania robót — liczyć nie można; i że to, coby się dało wykonać bez niepotrzebnego rujnowania i spokojnie, w ciągu pewnego dłuższego czasu — przy takich przesadzonych wymaganiach i przy takim silnym, pośrednim przymusie, tylko z niepowetowanemi stratami tak dla właścicieli domów, jak i dla miasta całego ma być przeprowadzanem.

(D. n.).
A. M.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stypendya. W Instytucie głuchoniemych i ociemniałych wakuje od roku szkolnego kilkanaście stypendyów skarbowych, na które przyjmowane będą głuchonieme i ociemniałe dzieci obojga płci wszelkiego stanu i nie starsze: głuchonieme nad lat 13, ociemniałe nad lat 15. Dla pozyskania miejsca pensyonarza kandydaci powinni przedstawić świadectwo ubóstwa przez władzę właściwą potwierdzone, nadto metrykę, świadectwo pochodzenia i lekarskie. Przy przyjmowaniu kandydatów wymaganą jest deklaracya osoby zasługującej na zaufanie i stale zamieszkałej w Warszawie, że uczeń lub uczenica, w razie zwolnienia ich z Instytutu, pozostaną na jej opiece. W razie niemożności wynalezienia takiej osoby w Warszawie, urząd gminny, miejski, powiatowy lub gubernialny może przyjąć żądane zobowiązanie na siebie. Kandydaci pochodzący z północno i południowo-zachodnich gubernij Cesarstwa, powinni przedstawić pozwolenie od gubernatorów miejscowych na pobieranie nauk w Instytucie warszawskim.

Cło. Towary afganistańskie, dowożone do Rosyi azyatyckiej i europejskiej, postanowiono obłożyć cłem według skali opłat, jakim podlegają towary perskie.

W departamencie kolejowym od pewnej spółki prywatnej otrzymano projekt urządzenia bufetów na główniejszych liniach kolei żelaznych w pociągach osobowych, pocztowych i pospiesznych. Stowarzyszenie to zobowiązuje się sporządzić własnym kosztem osobne wagony bufetowe, podług wskazówek odpowiedniej władzy.

Węgiel. Koło Sławkowa w pow. olkuskim, w miejscowości zwanej Ryżka, odkryto pokłady węgla kamiennego w głębokości 114 stóp.

Herbata. *Graždanin* donosi, iż ministeryum skarbu nie znajduje możliwem pozostawienie handlu herbaty w obecnem jego położeniu i uważa za rzecz konieczną, jako środek przejściowy, nakazać zaraz naklejanie banderol skarbowych na drobnych ilościach herbaty kupcom, którzy będą się o to starali i zgodzą się na spełnienie warunków, jakie mają być w tym względzie wydane.

Koleje żelazne. *Kur. warsz.* donosi, iż w roku bieżącym rozpoczęte będą studya inżenierskie dla wytknięcia linii nowej kolei, łączącej Brześć Litewski z Mławą dla połączenia kolei poleskich z morzem Baltyckiem. Droga ta będzie budowana kosztem rządu. Jednocześnie z ukończeniem tej linii postanowiono przyłączyć do dróg poleskich kolej Terespolską, która z tego powodu ma być wykupioną przez rząd. Również odnogi: Siedlecko-Małkińska i Brzesko-Chełmska, będące własnością rządu, oddane czasowo w administracyę kolei Terespolskiej, mają być wcielone do dróg Poleskich. Po przeprowadzeniu tych reform, zarząd kolei Poleskich przeniesiony będzie z Wilna do Warszawy.

— Koleje niemieckie pierwotnie odmówiły poczynienia jakichkolwiek ulg dla jadących na wystawę paryską. Obecnie odstąpiły od tego zamiaru i mają zaprowadzić bilety powrotne na Berlin i Kolonię, z terminem dwu i trzytygodniowym; pierwsze będą tańsze, drugie droższe. Stanowczo sprawa ta się rozstrzygnie 10 maja.

Sądy gminne. Ministeryum spraw wewnętrznych w porozumieniu z komisyą Rady państwa, opracowała projekt czasowych przepisów dla sądów gminnych. Projekt ten zawiera ogólne zasady zmiany powyższych sądów, nowe przepisy o karach wymierzanych przez sędziów gminnych i procedurę.

Wystawy. Wystawa rolniczo-przemysłowa otwarta będzie w Smoleńsku od 15 sierpnia do października r. b.

— W Tyflisie odbędzie się w październiku r. b. wystawa przemysłowa wyrobów miejscowych, gdzie będą przypuszczeni inni także wystawcy po za konkursem.

Żydzi. Rada państwa rozpatrzywszy wniosek ministra spraw wewnętrznych o zabronieniu żydom powołanym do spełniania lub pełniącym służbę wojskową, dawania za siebie zastępców z pośród swych najbliższych krewnych, uchwaliła: W zamian obowiązujących artykułów o służbie wojskowej, ma być wprowadzony artykuł takiej redakcyi: „Moc obowiązująca przepisów, zawartych w art. 51 niniejszego prawa, nie rozciąga się na żydów." Uchwała ta Najwyżej zatwierdzoną została.

Układy kolei ruskich z austryackiemi w sprawie zniżenia taryfy na przejazd przez Wiedeń do Paryża na wystawę zostały przerwane, gdyż ministeryum skarbu, do którego należą obecnie sprawy taryfowe, przeciwne jest wszelkim tego rodzaju ulgom, (*Nowosti*).

Bibliografia. M. Malinowski, *Nasi praojcowie* (przed przyjęciem chrześciaństwa), Warszawa, str. 101. Jest to książeczka dla ludu.

— K. Gliński, *Almanzor*, tragedya w 5 aktach, Warszawa, str. 99.

— Dr. J. Starkman. *Hygiena wzroku*, streszczenie z dzieła d-ra K. Gałęzowskiego, Warszawa, str. 40.

— A. Guillemine, *Siły przyrody*, zeszyt 2.

— W. Wicherkiewicz, *Geografia popularna*, zeszyt 41—52.

— A. Mickiewicz. *Pan Tadeusz*, z ilustracyami, Lwów, Altenberg, zeszyt 3 i 4.

Zmarli. Michał Szymanowski, b. profesor Szkoły Głównej. Ur. w r. 1831. Ukończył w Warszawie wydział prawa i administracyi; następnie kształcił się w Niemczech i we Francyi. Pracował na polu literackiem. Ważniejsza praca jego „Spółki i stowarzyszenia akcyjne"; przetłomaczył „Historyę rzymską" Duruy'a. Od r. 1861 do 1866 redagował *Przyjaciela dzieci*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Oskarowi H. w Werkach. Takiego lekarza, któryby „skutecznie leczył *wszelkie* najzawilsze zboczenia fizyologiczno-psychiczne," ani w Warszawie, ani prawdopodobnie nigdzie niema. Chorobami nerwowemi zajmują się w Warszawie doktorowie: Nussbaum, Goldflam, Bauerertz, Gajkiewicz i inni. Co do

hypnotyzmu, słyszeliśmy, że wysiłki p. Ochorowicza w podobnym wypadku nie dały żadnego pomyślnego wyniku. Jest to pożałowania godnem, że żaden sumienny i zdolny lekarz nie stosuje i nie wypróbowywa u nas tego środka; p. Ochorowicz zaś nie jest ani lekarzem, ani badaczem ścisłym, tak, że osiągnięte przez niego rezultaty nie posiadają wartości doświadczeń i wniosków rzetelnie naukowych.

X. Y. Z. Wierszyk Ibsena przetłomaczony dość gładko, choć zdaje nam się, że w oryginale musi być wyrażony jaśniej; drugi w formie słaby.

x. y. z. Śladów talentu nie dostrzegliśmy.

Panu Stan. Wil. w Nicy. Drobniejsze powieści wszystkich wymienionych autorów wyszły w przekładach lipskiej Biblioteki Reklama; z katalogu jej łatwo je odnaleźć.

Ofiary. Dla biednych: Kalinkiewicz z odesy rs. 25. Na kolonie letnie: Kalinkiewicz z Odesy rs. 10. Dla szpitala paralityków: Kalinkiewicz z Odesy rs. 10; X. X. głowę cukru. Na Kasę Mianowskiego: Kalinkiewicz z Odesy rs. 5.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Sprostowanie. W nr. 16 *Prawdy* w opowiadaniu „Żydziątko," na str. 184, szp. 2, wiersz 8 od dołu, zamiast „Czy nie," winno być: „Czy może"; szp. 3, w. 12 od góry, zam. „przyzywać" — „przerywać"; w. 3 od dołu, zam. „prosiła bądźcie" — „prosiła: bądźcie." Na str. 185, szp. 1, w. 2 od dołu, zamiast „stacyi tylko kolejowej" — „tylko na stacyi kolejowej"; szp. 2, w. 4 od góry, zam. „modliła" — „modliła się"; szp. 3, w. 7 od góry, zam. „porozumię" — „porozumiem"; w. 14 od góry, zam. „naprzód wtykane" — „wtykane z góry."

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Апрѣля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętoch[owski]